W numerze: Diament – znaczy niezwyciężony • Pan inżynier – dziewczynka do wszystkiego • Niech będzie Irka • Prawdziwi bohaterowie kolorowych baśni • Morderca • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy

50 (360)
19. XII. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

ANDRZEJ NADOLSKI

GROBOWCE OLBRZYMÓW

Uczeni z zagranicy dość często odwiedzają łódzki ośrodek archeologiczny. Nasza obszerna biblioteka, nowoczesna pracownia konserwacji zabytków, magazyny, archiwa i sale wystawowe żywo interesują gości z szerokiego świata. Wizyta w gmachu przy Placu Wolności przeciąga się przez cały dzień, albo i przez dwa, a czasem, jeśli przybysz pragnie dokładnie zgłębić jakiś szczegółowy problem, potrafimy dostarczyć mu atrakcji na tydzień i więcej.

Gorzej, jeśli cudzoziemiec chce poznać nie tylko łódzką archeologię, ale także jej otoczenie. Mówiąc między nami Łódź pięknością nie grzeszy i ciągle jeszcze niełatwo znaleźć w niej coś co zaimponowałoby Czechom, Francuzom, Węgrom czy Duńczykom. Oczywiście nie mówię o znawcach przemysłu! My, którzy mieszkamy tu od końca wojny, albo i od czasów przedwojennych, dobrze widzimy ogromne zmiany na lepsze, które dokonały się na naszych oczach w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Ale do odrobienia wszystkich grzechów złej, łódzkiej przeszłości — jeszcze bardzo daleko. Nie wytrzymujemy porównania z wielkomiejskością Warszawy, dostojnym zabytkowym obliczem Krakowa, barwnym rozmachem odbudowy Gdańska czy Wrocławia. Zapewne, mamy swoje osobliwości, ale mało chwalebne: czyż nie jesteśmy na przykład jedynym chyba siedemsettysięcznym miastem w Europie pozbawionym regularnej komunikacji lotniczej?

No, mój patriotyzm lokalny (zresztą bardzo świeżej daty) ulał sobie trochę żółci. Dajmy więc spokój łódzkim kompleksom i zajmijmy się znów zagranicznym gościem, mimowolnym sprawcą tych gorzkich wynurzeń. Jeśli zatem przybysz-archeolog zdradza tendencje krajoznawcze, wsadzamy go do samochodu i wieziemy w Polskę. Ustalił się już nawet tradycyjny szlak takich wycieczek. Ruszamy z Placu Wolności na północ, starą drogą wiodącą z Krakowa na Pomorze, której odcinek stał się w XIX wieku ulicą Piotrkowską. Mijamy tragiczne pogorzelisko — pomnik w Radogoszczy, trzęsiemy się na kocich łbach małomiasteczkowych bruków Zgierza i Ozorkowa, a stamtąd niedaleko już do Łęczycy, gdzie zielony wał grodziska, romańskie wieże Kolegiaty Tumskiej, ceglane mury Kazimierzowskiego zamku łączą się w specyficzną całość z jasnymi tynkami nowych bloków mieszkalnych i ze świeżo wyrosłymi hałdami kopalni żelaza. Tak oto na krótkiej, czterdziestokilometrowej trasie pokazujemy cudzoziemcom lokalną syntezę polskiego Milenium.

Ale „Polska ma więcej niż 1.000 lat" jak napisał Roman Burzyński. Zatem jeśli tylko czasu starcza, nie poprzestajemy na Łęczycy. Wiozące nas „Warszawa" przelatuje przez Krośniewice, koło Kłodawy mija granicę województwa łódzkiego i niebawem przed oczyma jadących poczynają przesuwać się szerokie tafle jezior. Latem — błękitne i lśniące, jesienią, albo wczesną wiosną — szare, pomarszczone od wiatru, obrzeżone strzępkami brudno-białych pian. Związek tych jezior z Ziemią Łęczycką jest dawny i szanowny; tutaj to łowiono w XI wieku ryby konsumowane podczas postów przez benedyktynów z łęczyckiego opactwa Panny Marii. Nas jednak nie interesują same jeziora. Interesuje nas kraina, w której leżą, kraina niewielka, ale w pradziejach Polski niezwykle ważna — Kujawy.

Kujawskie czarnoziemy i solanki przyciągały od niepamiętnych wieków uwagę różnych gromad ludzkich i dzięki temu na obszarach między Gopłem a Wisłą nagromadziły się wyjątkowo bogate ślady starożytnego osadnictwa. Chyba tylko Ziemia Krakowska jest pod tym względem jeszcze bardziej uprzywilejowana. Ale nawet w ziemi krakowskiej próżno by szukać niezwykłych pomników pradziejowych, znanych na Kujawach i od Kujaw biorących swą nazwę.

Za Brdowem i Izbicą samochód nasz porzuca szosę i skręca w boczne drogi, potem w dróżki, wreszcie w podleśną ścieżkę, właściwie w bezdroże. Jeśli pogoda dobra, jedzie się gładko. Gorzej bywa w czasie wiosennych roztopów. Zdarzyło się i tak, że ugrzęzła w błocie „Warszawę" wyciągały dwa dodatkowe, żywe silniki napędzane owsem. Francuski archeolog, który wraz z nami uczestniczył w tej przygodzie trzymał się dzielnie, ale zsiniał na marcowym wietrze jak sasanka i twierdził, że już teraz rozumie dlaczego Napoleon tak niechętnie angażował się w wojnę na polskim terenie.

Niegościnny las Wietrzychowicki (bo tak się zowie) kryje w swym wnętrzu nie byle atrakcję. Oto po przejściu kilkuset kroków napotykamy ogromny, przeszło 100 m długi nasyp ziemny w kształcie bardzo wydłużonego trójkąta. U podstawy trójkąta nasyp jest najwyższy (sięga kilku metrów) i obstawiony z zewnątrz wielkimi narzutowymi głazami. Im bliżej wierzchołka, tym nasyp niższy i tym drobniejsze kamienie obstawy. Ludność okoliczna nazywa takie dziwne twory „żalkami". Archeolodzy nadają im uczoną nazwę: „grobowce kujawskie".

Istotnie są to grobowce. Badania wykopaliskowe pozwoliły dokładnie poznać wnętrze „żalek". Okazało się, że spoczywają w nich szkielety ludzi z młodszej epoki ka-

Dalszy ciąg na str. 4

DROGI ROZWOJU

O problemach wsi woj. łódzkiego rozmawiamy z Sekretarzem KW PZPR - tow. St. Dobrodziejem

Redakcja naszego tygodnika zwróciła się do Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, tow. Stanisława Dobrodzieja, z prośbą o rozmowę na temat problemów rolnictwa Ziemi Łódzkiej.

ODGŁOSY: — Co składa się na obraz wsi łódzkiej 1965 r.?

Tow. DOBRODZIEJ: Przemiany społeczne, a szczególnie obecna stabilizacja życia i pracy na wsi, zaciera wspomnienia jeszcze ćwierć wieku temu masowo występujących na naszej wsi — bezrobocia, analfabetyzmu i dyskryminacji w dziedzinie zatrudnienia, oświaty i kultury.

Dziś wieś łódzka 1965 r. charakteryzuje się stosunkowo wysoką produkcją towarową rolnictwa, szerokim rozwojem różnych form samorządu chłopskiego i spółdzielczego oraz pomyślnymi wynikami w zakresie upowszechniania wiedzy zawodowej, kultury i oświaty.

Przemiany naszej współczesności wyrażają się:

■ W dobrym zagospodarowaniu gleby, z której globalna produkcja zbóż w 1965 r. wynosi 1.338 tys. ton tj. o 492 tys. ton więcej niż np. dziesięć lat temu. (Plony 4 zbóż 1955 r. — 14,6 q z ha, 1965 r. — 19,6 q). Wyższy wskaźnikowo jest również rozwój produkcji ogrodniczej, szczególnie warzywnictwa.

■ W stanie zwierząt gospodarskich nastąpił również wzrost. Np. stan bydła w br. wynosi 359,7 tys. sztuk, a lat temu dziesięć — 580 tys. szt. W trzodzie chlewnej ogólny stan wynosi 968,5 tys. sztuk, w analogicznym okresie — 794,3 tys. szt. Podkreślamy, że pogłowie koni w ostatnich pięciu latach zmniejszało się w wyniku coraz szerzej wprowadzanej mechanizacji.

Niepełny byłby obraz wsi Ziemi Łódzkiej 1965 r. bez omówienia społecznej atmosfery, jaka towarzyszy rozwojowi rolnictwa. Wielokrotnie wzrosły środki produkcji, nakłady inwestycyjne, usprawniło się zaopatrzenie wsi, odbiór produktów rolnych. Rozwój spółdzielczości, szczególnie kółek rolniczych, wyraża się wysokim udziałem w pracach samorządu wiejskiego, trzykrotnie wzrosła wartość majątku społecznego tych organizacji. Jeżeli do osiągnięć tych dodamy ustabilizowaną politykę cen na produkty rolne oraz powszechność kontraktacji roślinnej i zwierzęcej, z której korzysta prawie każde z ponad 270 tys. gospodarstw rolnych — to obecna sytuacja ekonomiczna i kulturalna wsi łódzkiej musi być uznana za korzystną.

ODGŁOSY: — Omawiając osiągnięcia polskiego rolnictwa zwykło się wskazywać na kilka województw zachodnich, wykazujących najwyższe wskaźniki produkcyjne, wyróżniających się spośród innych województw kraju wysoką kulturą rolną. Jakie szanse awansu do tej „ścisłej" czołówki ma wieś łódzka?

Tow. DOBRODZIEJ: Pamiętajmy, że osiągnięte wskaźniki produkcyjne i kultura rolna województw poznańskiego, opolskiego czy bydgoskiego są następstwem wieloletnich złożonych procesów. Uważamy, że rolnictwo łódzkie poważnie zbliżyło się we wszystkich wskaźnikach produkcji do tej „ścisłej" czołówki. Dla ilustracji sięgnijmy do rocznika statystycznego.

(Dane dotyczące 1964 r.)

Wojew.	Plony 4 zbóż z 1 ha	Obsada na 100 ha: bydło	trzoda	owce	Skup ze 100 ha grunt. orn.: zboża ton	ziemniaki ton	trzoda ton	Skup ze 100 ha użytków rolnych: jaja szt. tys.	żywiec ton	bydło ton	mleko
Poznań	18,0	50,8	92,8	18,5	20,1	41,9	8,4	22,0	7,6	4,2	22,6
Bydgoszcz	18,6	45,0	77,0	18,1	24,3	45,0	6,2	17,3	6,1	3,9	26,5
Opole	22,9	64,0	75,8	9,2	29,6	41,2	6,2	14,1	6,9	5,5	22,5
Łódź	17,7	53,0	67,4	27,5	11,9	39,7	5,9	16,0	5,7	3,6	23,1

(Dalszy ciąg na str. 3)

ŚWIATA

Bezprecedensowa próba wkroczenia przez biskupów polskich w dziedzinę polityki zagranicznej spotkała się z uzasadnionym oburzeniem społeczeństwa. Dała temu wyraz prasa codzienna w swych publikacjach.

Ten niesłychany dokument, nazwany przez jego autorów „orędziem", odbił się szerokim echem w kraju adresatów — Niemczech zachodnich. Bońska prasa zareagowała na niego odświeżeniem „problemu granic", przypomnieniem, że „prawo do ojczyzny (tak zaszyfrowane są roszczenia terytorialne — przyp. W. S.) obowiązuje nadal".

W „orędziu" bowiem decydująca dla nas sprawa: granicy na Odrze i Nysie, o której zresztą mówi się językiem odwetowców bońskich („poczdamskie obszary zachodnie"), podjęta została z takimi niedomówieniami, że „Koelnische Rundschau" mogło pisać:

„Z orędzia biskupów polskich da się być może wyczytać, iż nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo na temat przyszłej granicy polsko-niemieckiej".

Inaczej mówiąc „orędzie", do wystosowania którego nikt nikogo nie upoważnił, bo — o którym dowiedzieliśmy się dopiero z zachodnioniemieckiej agencji DPA, i którego tekstu odmówiono korespondentowi PAP, stało się przysłowiową wodą na młyn rewizjonistów różnej maści. Już to wystawia mu jak najmniej pochlebną cenzurkę i musi rodzić stanowczy protest. Protest obywateli kraju, który najbardziej ucierpiał w czasie II wojny światowej i który przecież dokłada tylu wysiłków na arenie międzynarodowej, by uchronić świat od nowej pożogi wojennej.

Nie podejmujemy więc wysuniętego w „orędziu" hasła: przebaczmy, zapomnijmy... Nie możemy go podjąć, ponieważ jest ono kierowane do reprezentantów kraju, którego polityka jest koncentratem idei odwetowych, raz po raz wybuchających niebezpiecznym płomieniem. Nie pozwala na to logika faktów historycznych i dzień dzisiejszy, który w NRF przebiega pod znakiem wiążących się ze sobą roszczeń — terytorialnych i nuklearnych, a którym w jeszcze większym stopniu niż Adenauer patronuje obecny kanclerz — Erhard.

I właśnie wtedy, kiedy w exposé rządowym kanclerz obwieszcza światu, że odtąd NRF występować będzie „jako aktywnie działająca potęga"; kiedy potwierdza dążenie do likwidacji NRD, kiedy mówi o „mocy prawnej granic z 1937 roku", kiedy wreszcie wybiera się do Waszyngtonu, by określić udział Niemiec zachodnich w nuklearnej strategii Zachodu — wtedy właśnie episkopat polski do znanych z antypolskich wystąpień biskupów zachodnioniemieckich wyciąga rękę. Więcej nawet — wita z radością ich odpowiedź na list, w którym na przykład jednym tchem, na jednej płaszczyźnie stawia się hitlerowską politykę zagłady narodu polskiego z... akcją przesiedleńczą Niemców po II wojnie światowej.

„Jeśli idzie o myśli o pojednaniu — przyznaje „Echo der Zeit" — to zostały one wypowiedziane w niezwykłej formie..

Biskupi nie mówią o niemieckich występstwach wstępnych w sprawie granic. Jest godne uwagi, że np. tzw. NRD jest absolutnie negowana... Rzuca się w oczy również używanie określenia „wypędzeni" dla żyjących dziś w Republice Federalnej ludzi z terytoriów wschodnich".

Wprost trudno uwierzyć, jak dalece w dokumentach biskupów polskich zatraca się poczucie godności narodowej...

Obiektywna wymowa „orędzia" jest jednoznaczna: niesie ono wiatr w żagle Bonn.

Ma więc rację „Neue Rhein-Ruhr Zeitung", kiedy w swoim komentarzu stwierdza, że „oburzenie wywołane krokiem kościoła polskiego w kierunku udzielenia wybaczenia i prośby o wybaczenie odczuwają nie tylko komuniści, żyjący w tym kraju, między Odrą a Bugiem".

Tak jest naprawdę.

Gros miejsca poświęciliśmy dziś tej skandalicznej sprawie i na inne bieżące wydarzenia pozostało go niewiele. Ograniczymy się więc tylko do omówienia sytuacji politycznej we Francji przed II turą głosowania.

Zmierzą się w niej — o czym Czytelnicy wiedzą — de Gaulle i Mitterand.

Dotychczasowy prezydent, by uzyskać potrzebną ilość głosów, musi zjednać sobie ok. 1,5 mln wyborców spośród tych, którzy w I fazie odmówili mu swojego poparcia. Kto z poprzednich kandydatów dostarczy mu tej klienteli?

Chyba Lecanuet — ubiegający się poprzednio o fotel prezydencki z ramienia centrum, chociaż sam do tego wyborców nie wezwał. Nawet odwrotnie — na konferencji prasowej podjął punkty zbieżne z Mitterandem, co interpretowane jest jako dyskretne poparcie dla tego ostatniego.

Tym bardziej interesujące jest więc, jaki będzie ten nowy podział głosów.

Francuski instytut badania opinii publicznej, który podobno na trzy dni przed pierwszą turą precyzyjnie przewidział jej wyniki — tym razem szanse de Gaulle'a określa na 60 proc. głosów. Zdaniem innych — jest to prognoza zbyt optymistyczna.

Wydaje się, że wiele zależeć będzie teraz od przebiegu drugiej rundy kampanii wyborczej, do której gaulliści przygotowali się bardzo starannie. Pompidou opracował nawet szczegółowy plan tej kampanii, włączając do niej wszystkich członków gabinetu oraz dobrych mówców gaullistowskich spoza rządu. Atak na wyborców — można więc powiedzieć — frontalny.

Raz jeszcze wypada jednak przypomnieć, że pewne fakty, niezależnie od wyników z 19 grudnia, są już nieodwracalne. Coraz głośniej też wielu publicystów zastanawia się, jakie mogą być tego następstwa w wyborach parlamentarnych w 1967 roku.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ **Władze jugosłowiańskie przygotowują projekt dalszego rozwoju turystyki w następnym pięcioleciu. Zgodnie z jego założeniami wpływy z turystyki zagranicznej w 1970 roku osiągną sumę 400 milionów dolarów. W roku ubiegłym dochody z tego tytułu osiągnęły sumę 92 milionów dolarów, zaś w roku obecnym przewiduje się wpływy w wysokości 105 milionów dolarów.**

■ Harold Macmillan, były premier brytyjski, pracuje obecnie nad swymi pamiętnikami. Ukończył pierwszy tom spośród trzech zamierzonych. Mówi się, że expremier brytyjski, jako pisarz, przyjął jeden ze zwyczajów swego wielkiego poprzednika Winstona Churchilla — budzi się wcześnie i spędza 2—3 godziny na pracy w łóżku.

Czytanie jest ekwiwalentem życia.

ELAINE DUNDY
pisarz

■ **Znany filozof brytyjski Bertrand Russell przesłał na ręce premiera Czou En-laia list w odpowiedzi na pismo premiera ChRL z października br. „Czerpię otuchę z poparcia — pisze Bertrand Russell, którego naród chiński udziela Wietnamczykom w ich zaciętej walce o wyzwolenie i niezawisłość. Jest rzeczą jasną, iż narody Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki muszą w podobny sposób przeciwstawić się okrucieństwu amerykańskiemu. Z mojej strony popieram z całego serca walkę Wietnamczyków i podzielam wasz pogląd, że opór wobec wysiłków USA zmierzający do dominowania nad światem jest najważniejszym zadaniem w walce o trwały pokój na świecie".**

■ Podczas podróży po Stanach Zjednoczonych brytyjska księżniczka Małgorzata spotkała się z wieloma głosami krytyki. Przedmiotem zarzutów, szczególnie prasy kobiecej, stał się ubiór księżniczki. Jedno z pism określa garderobę księżniczki jako „schizofreniczną mieszaninę elegancji i stylu pozbawionego smaku". Suknie Małgorzaty są „nieco za długie", jej dzienny ubiór „zbyt poważny", kapelusze „nie dość modne", futro stare i zniszczone. Również w Anglii podróż księżniczki spotkała się z szeregiem zarzutów. Z tym jednak, że Brytyjczyków mniej interesują kreacje Małgorzaty, więcej natomiast koszty jej voyage'u. Nieoficjalnie koszty te szacuje się na 91.000 — 560.000 dolarów. Jeden z członków Izby Gmin zapytał rząd, kiedy wreszcie zamierza „zaprzestać współudziałania w tego rodzaju nonsensownych przedsięwzięciach z bardzo „drogą" młodą lady".

■ **W Dominikanie ogłoszono datę wyborów powszechnych na 1 czerwca 1966 roku. Premier rządu tymczasowego Godoy oświadczył: „Tego dnia wygłoszę przemówienie, po czym ktoś inny zostanie prezydentem, a ja będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie".**

■ **Jugosłowiański dziennik „Borba" publikuje dane dotyczące zarobków ludności jugosłowiańskiej. Przeciętne nominalne zarobki we wrześniu br. w gospodarce i administracji wzrosły o 41 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Koszty utrzymania natomiast wzrosły w tym czasie przeciętnie o 50 proc.**

— Amerykański dziennik „Evening Star" sygnalizuje z Paryża wzrost nastrojów antyniemieckich we Francji. Od czasu do czasu — pisze dziennik — nadchodziły wiadomości o wzrastającej nieufności wobec Niemiec. Ale nikt prawie nie jest przygotowany na tak bardzo głębokie zarzuty antyniemieckie, które, jak się wydaje, obecnie wyrażane są przez cały oficjalny świat francuski. Powodem tych nastrojów są — zdaniem dziennika — dążenia Bonn do uzyskania dostępu do broni jądrowej.

Kosmos może przeistoczyć się w przedsionek następnej wojny.

BERTRAND RUSSELL
filozof

■ Córka Winstona Churchilla, Sarah, konsultuje dwóch autorów przygotowujących sztukę o jej ojcu. Churchill ukazany ma być w niej głównie jako człowiek, mniej jako mąż stanu.

■ **Korespondent TASS w relacji zakończonego soboru watykańskiego wskazuje m.in. iż mimo silnego nacisku skrzydła konserwatywnego na obrady soboru i pewnych decyzji podjętych w trakcie trwania obrad przez papieża Pawła VI, które odpowiadały skrzydłu „tradycjonalistów", mimo to, skrzydłu temu nie udało się osiągnąć zamierzonego celu, a mianowicie zawrócenia kościoła katolickiego na drogę „pochodów krzyżowych" przeciwko innowiercom. Żądanie „450 twardogłowych" biskupów, aby uroczyście potępić komunizm zostało odrzucone ogromną większością głosów. Po raz pierwszy w całej historii katolicyzmu sobór powszechny kończy się bez klątw pod adresem tych, którzy nie zgadzają się z teorią i praktyką kościoła katolickiego.**

■ **Premier ZSRR Aleksiej Kosygin udzielił wywiadu korespondentowi amerykańskiego dziennika „New York Times" J. Restonowi, w którym radziecki premier poddał ostrej krytyce politykę zagraniczną USA, piętnując w szczególności utrzymywane przez Stany Zjednoczone niebezpieczeństwo wojny w Europie, interwencję zbrojną w Wietnamie oraz popieranie kolonializmu w całym świecie. Według AP wywiad trwał 105 minut.**

Najwięcej energii pochłania rozwiązywanie problemów, które nigdy nie wystąpią.

WILLIAM SOMERSET MAUGHAM

■ Stały radziecki przedstawiciel w ONZ Mikołaj Fedorenko podjął ostatnio sprawę podwyżek uposażeń dla pracowników służby porządkowej i bezpieczeństwa NZ. Radziecki dyplomata omawiał tę sprawę z sekretarzem generalnym U Thantem. Fedorenko wyraził przy tym zdumienie, iż jak mu oświadczyli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa ONZ, ich zarobki są niższe aniżeli nowojorskich policjantów, czy też służby bezpieczeństwa w Białym Domu.

■ **Uczeni radzieccy przestrzegają przed zarysowującym się niebezpieczeństwem zatrucia wód jeziora Bajkał ściekami przemysłowymi. Wśród niebezpieczeństw zagrażających jezioru są zamierzenia budowniczych wielkich elektrowni, których realizacja może zakłócić bilans wodny jeziora oraz planowana rozbudowa przemysłu chemicznego nad brzegami tego największego zbiornika wód słodkowodnych. Uczeni domagają się w związku z tym uznania całego basenu bajkalskiego o powierzchni 557 tys. km kwadratowych za ścisły rezerwat przyrody.**

■ Moskiewski mechanik samochodowy o nazwisku Rybałow, skarżył się od lat na silne bóle głowy. W końcu zdecydował się na operację. Podczas zabiegu mocno zdziwiony chirurg wydobył z ucha delikwenta — kiełkujące ziarno słonecznika.

■ **Gubernator brytyjski rezydujący w Rodezji pozbawiony został przez rząd Smitha kolejnego przywileju w ramach uprawianej polityki „wzajemnych wstrętów". Rząd południoworodezyjski uchylił przywilej zwalniający gubernatora od obowiązku opłat pocztowych. Ogromny worek kart z życzeniami świątecznymi poczta rodezyjska zwróciła gubernatorowi powiadamiając go o obowiązku zaopatrzenia kart w znaczki. Z drugiej zaś strony z Rodezji napływają do W. Brytanii karty z życzeniami do osób prywatnych i oficjalnych, na których nadrukowane są apele o poparcie dla rządów Smitha.**

Przebudzenie
(The Guardian)

POCHWAŁA ZWIĘZŁOŚCI

Życie jest za krótkie, aby pisać długie rzeczy.
ALFRED POLGAR

Plagą naszego życia jest gadulstwo. I to zarówno gadulstwo w pisaniu jak i w mówieniu. Niedawno byłem na pewnym zebraniu, gdzie jeden po drugim wchodzili na trybunę mówcy i wygłaszali różne rzeczy. Z rzadka jedynie błysnął któryś z nich celniejszym sformułowaniem i niewyświechtaną myślą. W większości były to wypowiedzi banalne i z góry już znane w swej treści. Oto, na przykład, wchodzi na trybunę dyskutant, zaczynający swoje przemówienie w ten sposób: „W tym, co mam do powiedzenia, pominę rzeczy nieważne, marginesowe, a skupię się na sprawach najistotniejszych. Nie będę też powracał do problemów już tutaj poruszanych. Najpierw zajmę się w swoim przemówieniu paru zagadnieniami, które nam wszystkim leżą na sercu, a potem przejdę do wniosków i dezyderatów." Człowiek, który tak zaczyna swoje wywody, skazuje się z miejsca na klęskę. Zamiast mówić o tym, o czym ma mówić, lepiej by zrobił, przystępując od razu do rzeczy i wykładając kawę na ławę. W dodatku doświadczenie poucza, że mówca, który nakreśla plan własnej wypowiedzi zwykle nie dotrzymuje słowa i w dalszym toku zaprzecza sam sobie, albo w ogóle mówi nie na temat. Dlatego też na wielu zebraniach i dyskusjach nudzimy się jak mopsy, wychodzimy z zebrania jak przekręceni przez maszynkę — z chaosem w głowie i pustką w sercu.

Jeszcze bardziej nieznośne staje się gadulstwo pisane. Nasze gazety z powodu ograniczeń papierowych muszą podawać wiadomości w formach skondensowanych, ale i tutaj natrafiamy nieraz na wielosłowie. Albowiem gadulstwo może się przejawić również w kronikarskiej notatce, nie tylko w dużym objętościowo artykule. A już w tygodnikach gadulstwo pleni się zastraszająco. U wielu piszących panuje fałszywe przekonanie, że artykuł krótki i zwięzły nie ma tej wagi, co ogromna kobylasta płachta na całej kolumnie. Piszę te słowa nie na podstawie domniemań i przypuszczeń, lecz na podstawie znanych mi faktów. Artykulik mały nie liczy się i łatwo może zostać w ogóle nie zauważony. Natomiast artykuł duży zauważyć musi każdy, choć nie każdy go przeczyta. Istnieje nawet pewność, że większość czytelników go pominie, ale mówić o nim będą wszyscy. Pewien recenzent teatralny, znany z tego, że pisze na ogół krótko i do rzeczy, opowiadał mi następującą historyjkę. Jednego razu przyszedł do niego młodszy kolega, również piszący o teatrze. Gdy zobaczył leżącą na biurku recenzję, gotową do druku, przejrzał ją i zawołał z rozczarowaniem: „Ależ człowieku, to jest zbyt krótkie, a ponadto — tak jakoś jasno napisane. Musisz recenzję powiększyć i trochę ją pokomplikować!" Recenzent nie skorzystał z rady kolegi, ale też nie znalazł w jego oczach uznania. Dla uniknięcia nieporozumień i domysłów dodam, że rzecz działa się nie w Łodzi, lecz w stołecznym mieście Warszawie.

Wychodzi w Paryżu znana i popularna gazeta „Le Monde", którą można również dostać u nas w Polsce. Prawie w każdym numerze na pierwszej stronie znajduje się felieton pod stałym tytułem „Au jour le jour", podpisany zazwyczaj imieniem i nazwiskiem. Są to nazwiska szacowne, we Francji ogólnie znane. Otóż każdorazowy z tych felietonów wynosi dokładnie sto wierszy druku czyli jedną stronę maszynopisu. Autorzy w skondensowanej formie potrafią powiedzieć wszystko, co trzeba, na określony temat. Piszą zwięźle, jasno i dowcipnie. Piszą głęboko i mądrze. Piszą tak, że wszyscy mogą to zrozumieć. No tak, ale w oczach wielu naszych intelektualistów, pisać zrozumiale to tyle, co pisać źle. Więc nie plamią swego honoru i piszą długo, mętnie i zakalcowato.

Zdarza się, oczywiście, że niektórzy pisarze w niektórych przypadkach zwięzłość swoją posuwają za daleko. Znany ze zwięzłości i dowcipu Antoni Słonimski, napisał był kiedyś w „Wiadomościach Literackich" recenzję o pewnym przedstawieniu, która składała się z dwóch zdań. Oto one: „Ta sztuka nie jest taka, zła, na jaką wygląda. Jest znacznie gorsza." Koniec. Kropka. I, o dziwo, nawet aktorzy wcale się na niego nie obrazili, bo autor nie pisał o przedstawieniu i grze aktorów, lecz jedynie o samej sztuce. Po wojnie zdarzyło się coś podobnego raz jeden jedyny. Jan Kott na łamach „Przeglądu Kulturalnego" zjechał w paru zdaniach jakieś przedstawienie. Boże, cóż się wówczas działo. Zainteresowano tym nieledwie najwyższe czynniki. Od tego czasu Jan Kott nie pisze już tak krótkich i zwięzłych recenzji. Ba! ale Kott pisze dobrze i można go czytać nawet wtedy, gdy przebierze miarkę.

W czasach mojej młodości złożyłem wizytę Stefanowi Gackiemu, który w warszawskim „Dzienniku Popularnym" pisywał recenzje teatralne. Na jego biurku leżały trzy małe karteczki papieru. Gacki powiedział wtedy: „Widzi pan, na tych trzech karteczkach muszę zmieścić całą moją recenzję. Jeśli mi się nie uda, będę ją pisał od nowa. Albowiem nie wolno mi przekroczyć tej objętości. Nie, nikt mi tego nie narzucił. Narzuciłem to sobie sam, aby wystrzegać się niepotrzebnego gadulstwa." Bardzo się tym przejąłem. Muszę też wyznać, że w podziw wprawiają mnie autorzy, którzy potrafią napisać powieść na 600 stron druku. Czy można dzisiaj takie powieści pisać? I czy można je czytać?

Stanisław Jerzy Lec napisał niedawno: „Streszczajmy się, albowiem świat jest przeludniony słowami." Proszę państwa, streszczajmy się!

Jan Koprowski

DROGI ROZWOJU

O problemach wsi woj. łódzkiego rozmawiamy z Sekretarzem KW PZPR - tow. St. Dobrodziejem

Dalszy ciąg ze str. 1

Zajmujemy czołowe pierwsze miejsce w kraju w towarowej produkcji roślinnej i zwierzęcej w Państw. Gospodarstwach Rolnych i Spółdzielniach Produkcyjnych, chociaż procent areału gospodarki socjalistycznej jest niższy, aniżeli w wymienionych województwach. Z całości rozważań, wynika, przy uwzględnieniu oczywiście naszej rozdrobnionej struktury gospodarstw, że powinniśmy osiągnąć w najbliższym 5-leciu podstawowe wskaźniki towarowości rolnictwa, zmniejszając poważnie istniejące jeszcze dysproporcje i różnice.

ODGŁOSY: Dla większości mieszkańców miasta termin „modernizacja" kojarzy się z określonymi zmianami, jakie dokonują się w przemyśle. Jaki kompleks problemów kryje się pod tym pojęciem w odniesieniu do wsi? Jakie trudności towarzyszą temu procesowi?

Tow. DOBRODZIEJ: Proces modernizacji wsi w swym charakterze jest procesem długofalowym, wieloletnim, obejmującym nie tylko sferę wytwarzania. Wywiera on zasadniczy wpływ i na zmianę organizacji pracy, a więc stosunki produkcji, które — jak wiadomo — są czynnikiem decydującym o rozwoju sił wytwórczych.

W tym sensie modernizacja rolnictwa może być realizowana nie pod wpływem jakichś aktów normatywnych, lecz w drodze kompleksowego rozwoju przemysłu współpracującego z rolnictwem oraz w drodze systematycznego podnoszenia wiedzy fachowej i ogólnej rolników.

Np. w pracach omłotowych, które są pracami bardzo uciążliwymi, w okresie ostatnich 3—4 lat proces modernizacji doprowadził do pełnej mechanizacji. Zbiory zbóż zostały już zmechanizowane w 50—70 proc., ziemniaków w 50—60 proc., orki i transport rolny w 50 proc. Mechanizacja zmniejsza fizyczny wysiłek rolnika, skraca okres wykonywania prac, stwarza możliwość poprawy jakościowej podstawowych zabiegów agrotechnicznych (głębokie orki, czyszczenie ziarna itp.) — co oczywiście wpływa na intensyfikację produkcji.

Proces modernizacji rolnictwa obejmuje także chemizację, tj. nawożenie, ochronę roślin i wapnowanie gleb, a także regulację stosunków wodnych w glebie — tj. meliorację gruntów ornych, użytków zielonych, wprowadzania deszczowni i różnych form nawodnień, wykorzystywania energii elektrycznej w procesach produkcyjnych i w gospodarstwie domowym. Modernizacja wreszcie to także przestrzenna zabudowa wsi, obejmująca urządzenia socjalno-komunalne.

Tak więc proces modernizacji wsi obejmuje wszystkie problemy unowocześniania rolnictwa, jego bazy wytwórczej, stosunków społecznych — a także kultury i oświaty. Stąd złożoność tego procesu i nierównomierność jego zaawansowania w poszczególnych rejonach.

ODGŁOSY: — Spotyka się często opinię o korzystniejszych materialnie warunkach bytowania na wsi niż w mieście. Czy Waszym zdaniem odczucia te opierają się na jakichś racjonalnych przesłankach, czy też są one wynikiem niedostatecznej znajomości spraw wsi?

Tow. DOBRODZIEJ: Rozważania na temat korzystniejszych materialnie warunków bytowania na wsi niż w mieście — podejmowane szczególnie przez ludzi obserwujących wieś ze swych podróży, bądź niedzielnych lub świątecznych wizyt rodzinnych — są najczęściej odczuciem subiektywnym, nie mającym nic wspólnego z obiektywną oceną sytuacji społeczno-ekonomicznej wsi.

Zasadnicza różnica między miastem a wsią wynika z różnicy poziomów sił wytwórczych oraz charakteru stosunków między producentami w przemyśle i rolnictwie. Robotnicy w przemyśle mają często wielokrotnie wyższą wydajność pracy, aniżeli w rolnictwie — dzięki zastosowaniu parku maszynowego, dużych ilości energii mechanicznej i racjonalnej organizacji pracy. Mówiliśmy już o postępie w rolnictwie i kierunkach jego modernizacji. Wszystkie te środki stwarzają dopiero przesłanki wzrostu wydajności pracy w rolnictwie, a więc postępu, który coraz poważniej zależy także od pomocy przemysłu. Należy zdać sobie sprawę, iż mimo zwiększającej się pomocy państwa dla rolnictwa — (w naszym województwie na następne 5-lecie dysponować będziemy łącznymi środkami inwestycyjnymi dla rolnictwa, spółdzielczości i przemysłu rolno-spożywczego w wysokości ok. 8 mld. zł łącznie z Funduszem Rozwoju Rolnictwa kółek rolniczych) — nieprędko osiągniemy zrównanie warunków produkcyjnych przemysłu i rolnictwa, jakkolwiek i w tej dziedzinie nastąpi znaczny postęp.

Najbardziej widocznym przejawem różnicy między miastem a wsią jest przeciętnie niższa stopa życiowa na wsi niż w mieście, gorsze niż w mieście warunki bytowe. W okresie 20-lecia ogólny rozwój gospodarki kraju spowodował znaczną poprawę sytuacji na wsi, wzrost dochodów i spożycia. Pod tym względem różnica między miastem a wsią zmniejszyła się znacznie. Szereg środków komunikacji masowej przybliża wieś do miasta, a szybkie wkraczanie radia, telewizji usuwa nierówności wynikające z faktu zamieszkiwania na wsi. Szeroka oświata i coraz powszechniej działające szkolnictwo rolnicze wraz z siecią bibliotek i kin, wiejskich domów kultury, klubokawiarni i świetlic wpływają na podnoszenie ogólnego poziomu kultury i oświaty na wsi. Stąd dążenie ludności wsi do dalszego postępu i tendencja do poprawy warunków egzystencji, gdyż mimo wszystko w wielu dziedzinach wciąż jeszcze istnieje znaczna rozpiętość między miastem a wsią. Co więcej — można bez przesady powiedzieć, że unowocześnianie życia na wsi postępuje w tempie szybszym, niż dzieje się to z modernizacją prac produkcyjnych w rolnictwie.

ODGŁOSY: — Spróbujmy z kolei odwrócić to pytanie. Chodzi o perspektywy młodzieży wiejskiej, jej szanse życiowe?

Tow. DOBRODZIEJ: Z naszych rozważań wynika chyba korzystna perspektywa dla młodzieży wiejskiej. Wprowadzone już jednolite szkolnictwo stwarza młodzieży wiejskiej równe w zasadzie możliwości wyboru drogi życiowej. Przedłużenie cyklu szkolenia rolniczo-zawodowego i szerokie wprowadzenie techniczno-rolniczej oświaty poza szkolnej czyni zawód rolnika coraz bardziej specjalistycznym i wykwalifikowanym. W województwie łódzkim pracuje już zawodowo w rolnictwie kilkanaście tysięcy młodych ludzi zajmujących się eksploatacją sprzętu traktorowo-maszynowego, specjalistycznym doradztwem rolniczym, rachunkowością kółek rolniczych, technicznymi usługami w POM i ich filiach, w GS, w przemyśle rolno-spożywczym i innych organizacjach rolniczych.

Najbliższy plan 5-letni oraz wynikające potrzeby do 1970 roku w zakresie specjalistów rolnictwa wyrażają się dziś szacunkową liczbą 45 tys. Potrzeby te oznaczające dużą perspektywę awansu społecznego dla młodzieży wiejskiej będziemy realizować w 25 stacjonarnych szkołach rolniczych województwa, w ponad 200 szkołach przysposobienia rolniczego, w zespołach przysposobienia rolniczego, a także na różnych wielomiesięcznych kursach specjalistycznych — razem z ZMW i organizacjami rolniczymi.

Już dziś zawód rolnika wymaga dużych kwalifikacji, a w miarę dalszego postępu technicznego i rozwoju nauk rolniczych wymagać będzie coraz wyższej specjalizacji — stąd młodzież wiejska powinna się uczyć nie po to, by uciekać z rolnictwa, lecz po to, by po skończeniu szkoły pomagać w przeobrażaniu wsi, w upowszechnianiu postępu w rolnictwie, w podnoszeniu zawodu i rangi rolnika.

W tym sensie prace wychowawczo-oświatowe z młodzieżą wiejską cechować się winny szeroką i rzeczową informacją ze strony rad narodowych, organizacji młodzieżowych, przy życzliwym poparciu ze strony społeczeństwa wiejskiego, a przede wszystkim rodziców. Inaczej mówiąc dla młodzieży wiejskiej nie powinno być tematów zakazanych, nie powinno być tajemnic rolniczych, zarządzania i gospodarowania w radach narodowych, GS, agronomówkach, lecznicach weterynaryjnych i innych obiektach wiejskich. Ten kierunek demokratycznej informacji, wymiany poglądów polegać winien więc nie tylko na lepszym przygotowaniu kadr dla pracy w rolnictwie ale na przygotowaniu tych kadr do współrządzenia rolnictwem.

ODGŁOSY: — Jak wyobrażacie sobie wieś łódzką roku 1980?

Tow. DOBRODZIEJ: Produkcja socjalistycznej gospodarki w nadchodzącym dziesięcioleciu w całym kraju osiągnie na pewno wysoki europejski poziom, a więc i rolnictwo, w tym również wieś łódzka w sposób zasadniczy zmodernizuje technologię produkcji, rozwinie się wysoko kultura pracy i bytu, a szczególnie komunalno-socjalne warunki wsi. Inaczej mówiąc, powinniśmy dojść do wzrostu kosztu stanowiska pracy w rolnictwie, czyli do wysokiego wprowadzenia dobrej techniki i nowej technologii produkcji w rolnictwie.

W latach tych na pewno wieś łódzka będzie musiała pokonać wiele trudności w zakresie swej modelowej struktury społecznej, wymagać tego będzie interes gospodarki narodowej, interes społeczeństwa, wprowadzana powszechnie wysokosprawna i wydajna technika, zgodnie z ogólnymi prawidłowościami rozwoju rolnictwa w świecie. Na pewno będziemy mieli już daleko poza sobą szereg występujących dzisiaj trudności, dotyczących dysproporcji między produkcją roślinną i zwierzęcą, a więc tych, które zmuszają gospodarkę narodową do importu zbóż, czy też budownictwa wiejskiego, z którym nie możemy się dziś uporać w wyniku dużego deficytu materiałów budowlanych.

Daleko idącym zmianom, na pewno ulegną powszechne dziś pojęcia o zawodzie rolnika, który wynika ciągle w naszych warunkach z faktu dziedziczenia, a więc posiadania warsztatu rolniczego. Sprawy te mają ogromne znaczenie dla praktyki rolniczej, a szczególnie dla młodzieży wiejskiej, która dziś powszechnie uczne się wielu zawodów specjalistycznych rolnictwa — przejmuje w omawianych latach i kontynuować będzie kierunki rozwoju nowoczesnego socjalistycznego rolnictwa. Jeśli do tego dodamy powszechnie wysoki poziom kultury na wsi, powszechnie wysoką produkcję zbóż, ziemniaków, warzyw i owoców, mięsa, mleka a także surowców dla przemysłu rolno-spożywczego — to spełnione zostaną wymogi i potrzeby społeczeństwa miast i wsi, zgodnie z podstawowymi zasadami ekonomii socjalizmu.

ODGŁOSY: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: ZBIGNIEW FALIŃSKI

Foto: Marcin Menzel

Prace i osiągnięcia naukowców łódzkich

JÓZEF DUTKIEWICZ

40 lat w służbie nauki

W 1925 roku ukazał się w „Roczniku Orientalistycznym" niewielki artykuł podpisany przez znanego już wówczas polskiego orientalistę — Tadeusza Kowalskiego i studenta historii Uniwersytetu Jagiellońskiego — Józefa Dutkiewicza. Temu ostatniemu prorokowano wówczas karierę naukową. I rzeczywiście od tego czasu szybko narastała bibliografia prac historycznych Dutkiewicza, a w 40 rocznicę jego twórczości zamyka się ona imponującą liczbą prawie dwustu pozycji drukowanych.

Sylwetka jubilata już od lat wrosła w „łódzki grunt". Józef Dutkiewicz, profesor zwyczajny Uniwersytetu Łódzkiego, kierownik katedry historii powszechnej nowożytnej i nowoczesnej, członek wielu towarzystw naukowych, zdobył zasłużone uznanie wśród łódzkich pracowników naukowych, studentów, nauczycieli, licznego grona czytelników prac popularno-naukowych i bywalców odczytów. W życiu codziennym umiejętnie łączy on pracę naukowca — badacza i naukowca — popularyzatora z obowiązkiem dydaktyka.

Po ukończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego i uzyskaniu stopnia doktora za pracę pt. „Austria wobec powstania listopadowego" objął Dutkiewicz posadę nauczyciela historii w Zawierciu. Równocześnie kontynuował prace badawcze. Opublikował szereg artykułów i recenzji na łamach „Kwartalnika Historycznego" i „Przeglądu Historycznego".

W latach 1928—1930 nauczyciel — badacz uzyskał stypendium naukowe na wyjazd za granicę. Archiwalia wiedeńskie pozwoliły mu uzupełnić i rozszerzyć prace doktorską; w Paryżu zaczął zbierać materiały do monografii „Francja wobec powstania listopadowego"; zaś w Berlinie i Londynie interesował się głównie metodyka nauczania historii w szkołach średnich.

Po powrocie do kraju opublikował znacznie rozszerzony tekst pracy doktorskiej „Austria wobec powstania listopadowego", oraz rozprawy: „Polska a Turcja w czasie Sejmu Czteroletniego" i „Prusy a Polska w dobie Sejmu Czteroletniego".

Związany praca zawodowa ze szkolnictwem średnim, Józef Dutkiewicz jako nauczyciel w liceum pedagogicznym w Łowiczu, popularyzował dzieje szkoły, w której pracował. W 1934 r. ukazała się jego broszura „Historia Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Łowiczu", a w następnym roku praca „Szkoła wydziałowa ks. Pijarów w Łowiczu".

Do wybuchu II wojny światowej dla Dutkiewicza nie było miejsca w szkolnictwie wyższym. Pomimo już znacznego dorobku naukowego pozostawał on na posadzie prowincjonalnego nauczyciela, który z uporem — publikowanymi pracami — udowadniał swą rangę uczonego.

W pracach badawczych Dutkiewicz coraz bardziej koncentrował się na tematyce związanej z powstaniem listopadowym oraz zagadnieniach dydaktyki i metodyki szkolnej. W chwili wybuchu wojny miał już niemal zakończoną dyssertację habilitacyjną na temat „Francja wobec powstania listopadowego".

W okresie okupacji pozostał Dutkiewicz w Łowiczu, gdzie zajmował się tajnym nauczaniem. Po upadku powstania warszawskiego razem z prof. dr Boleskim uruchomił zajęcia dla tych słuchaczy tajnej Wolnej Wszechnicy, którzy znaleźli się w Łowiczu.

Powstanie szkolnictwa wyższego w wyzwolonej Łodzi otworzyło nowy etap działalności J. Dutkiewicza. W kwietniu 1945 r. objął on wykłady zlecone na Uniwersytecie Jagiellońskim zaś w listopadzie tegoż roku uzyskał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień habilitowanego docenta.

W 1947 r. objął w Łodzi kierownictwo Katedry Historii Nowożytnej Polski, a po roku został przesunięty na stanowisko kierownika katedry Historii Powszechnej Nowożytnej. Równocześnie kierował Katedrą Historii Powszechnej w Łódzkiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Od 1952 r. profesor Dutkiewicz jest dyrektorem Instytutu Historycznego, który zrzesza katedry historyczne Uniwersytetu Łódzkiego.

Pierwsze lata powojenne są okresem odbudowy i powstawania polskich placówek naukowych. W tym okresie prowadził Dutkiewicz ożywioną działalność popularyzatorską. Ogłaszał recenzje i artykuły głównie na łamach „Myśli Współczesnej" i „Wiadomości Historycznych". Dla wydawnictwa seryjnego „W stulecie Wiosny Ludów" napisał rozprawę „Wiosna Ludów we Francji", a Łódzkie Towarzystwo Naukowe wydało jego dyssertację habilitacyjną „Francja a Polska w 1831 r."

W latach 1950—1965 działalność naukowa profesora szła w trzech kierunkach. W dalszym ciągu pogłębiał on badania nad powstaniem listopadowym („Wewnętrzne dzieje powstania listopadowego", „Przeprawa Paszkiewicza przez Wisłę" i inne), równocześnie zajmował się dziejami historiografii i metodologii historii („Szymon Askenazy i jego szkoła", „W sprawie hipotez historycznych" i inne), interesował się i rozwijał badania nad metodyką i dydaktyka nauczania historii w szkołach wyższych.

Odrębny dział twórczości Dutkiewicza stanowią recenzje książek z zakresu historii powszechnej. Na łamach czasopism historycznych od 1928 r. do chwili obecnej prezentuje on krytyczny rozbiór trudno dostępnych dzieł historyków francuskich, niemieckich i angielskich. Nawet najkrótsze z recenzji odznaczają się sumiennością, celnością uwag, a zarazem okazują rozległość wiedzy i zainteresowań piszącego.

Do działalności naukowej profesora należy zaliczyć także inspirowanie prac młodych historyków i kontrole nad pisaniem rozpraw magisterskich, doktorskich i habilitacyjnych. Dotychczas Dutkiewicz promował 12 doktorów, na jego seminariach powstały 3 rozprawy habilitacyjne, dwukrotnie występował jako wnioskodawca i referent przewodów habilitacyjnych (K. Śreniowskiej i W. Bortnowskiego).

Profesor Dutkiewicz nie zasklepił się wyłącznie w pracy naukowo-badawczej i dydaktyce uniwersyteckiej. Swą wiedzę i doświadczenie pedagogiczne przekazuje on nauczycielom, jako uczestnik konferencji, prelegent i organizator sesji popularno-naukowych. Dzieli się wynikami badań z szerszym kręgiem słuchaczy swych odczytów oraz czytelnikami artykułów w prasie i czasopismach. Od paru lat współpracuje także z redakcją „Odgłosów".

Jako profesor wyższej uczelni J. Dutkiewicz z nawiązką wypełnia trojakie obowiązki, które obarczają naukowca w Polsce Ludowej: prowadzi efektywne badania naukowe; szkoli kadrę pracowników naukowych i dydaktycznych (nauczycieli); popularyzuje wiedzę historyczną i niestrudzenie pozwala dokładniej poznawać nam przeszłość, by lepiej rozumieć teraźniejszość.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Foto: L. Jarzyński

GROBOWCE OLBRZYMÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

mienia, z trzeciego tysiąclecia p.n.e. Zazwyczaj jest tych szkieletów kilka, rzadziej tylko jeden. Same grobowce występują przeważnie grupami. W Wietrzychowicach jest ich 5, w pobliskim Sarnowie aż 9. Ludność, która je budowała i to budowała z niemałym nakładem pracy, to w archeologicznej terminologii lud kultury pucharów lejkowatych. Niewiele to mówi laikom, ale pocieszmy się! Specjaliści też nie za wiele potrafią powiedzieć o pochodzeniu tej ludności, choć wcale nieźle znają jej gospodarkę, narzędzia, broń, nawet obyczaje. Obyczaje były dziwne. Nie dlatego nawet, że ci pradziejowi mieszkańcy Kujaw (zajmowali zresztą i inne dzielnice Polski) potrafili od czasu do czasu skonsumować befsztyk z ludzkiego mięsa. Ludożerstwo trafia się przecież dość często nawet i w epokach znacznie późniejszych. Bardziej dziwi, iż składając niektórych swoich zmarłych w „grobowcach kujawskich", pozostałych chowali z niewiadomych przyczyn bez takiej parady w zwykłych, ziemnych jamach grobowych. Ale może najbardziej zdumiewa, że „grobowce kujawskie" są najdalej na północny wschód wysuniętym śladem wierzeń czy obrządków, które w tamtych odległych czasach objęły ogromne obszary Europy, a wyrażały się wznoszeniem monumentalnych budowli z olbrzymich głazów, zwanych z grecka megalitami.

Znamy więc rozmaite megality z wybrzeży Morza Śródziemnego, spotykamy je pospolicie na Półwyspie Pirenejskim, we Francji, w Anglii, w Skandynawii i w przymorskich partiach Niemiec. Stamtąd przechodzą one na nasze Pomorze, aby wreszcie jako „żałki" pojawić się w głębi ziem polskich. Budowle megalityczne (nie zawsze były to groby) od dawna budziły ludzką ciekawość. Rozmiary głazów użytych do ich skonstruowania są niekiedy tak olbrzymie, że po prostu trudno pojąć w jaki sposób można było podobne bloki transportować i ustawiać dysponując przecież tylko prymitywnymi narzędziami. Autorzy średniowieczni rozwiązali zagadkę bardzo prosto: uznali megality za dzieło wielkoludów. „Tumulus gigantis" (mogiła olbrzyma), „sepulchrum gigantis" (grobowiec olbrzyma) — pod takimi nazwami występują pomorskie groby megalityczne w źródłach pisanych z XIII wieku. Tradycję tę przechowuje zresztą i niemieckie ludowe określenie megalitów: „Hünen graeber". Nawiasem mówiąc niemiecka nazwa „der Hüne" — „olbrzym", to także ciekawy zabytek. Oto słynni Hunowie spuścili swego czasu różnym Germanom takie cięgi, że imię groźnych Azjatów stało się w językach germańskich synonimem wielkoluda. Dla sprawiedliwości trzeba przyznać, że identyczną karierę w językach Słowian zrobiło imię Awara — Obra (także azjatyckiego koczownika) przekształcone właśnie w „olbrzyma".

Wróćmy jednak do naszych megalitów. Dziewiętnastowieczni romantycy nie zadowolili się łączeniem ich powstania z działalnością obywateli obdarzonych wymiarami nietypowymi. Zgodnie z ówczesną modą na Celtów przypisali budowle megalityczne celtyckim kapłanom — druidom. Dlaczego? Może dlatego, że wśród krajów szczególnie obfitujących we wspaniałe megality godne miejsce zajmuje zamieszkała przez Celtów francuska Bretania? Ta „teoria celtycka", znalazła odbicie w polskiej literaturze i to w nie byle jakiej. Juliusz Słowacki skierował jeden ze swych wierszy „Do pastereczki siedzącej na Druidów kamieniach w Pornic nad oceanem", a w „Lilli Wenedzie" kazał wenedzkim harfiarzom zbierać się wokół „monumentu z druidycznych kamieni". Dopatrywano się w megalitach ołtarzy i stołów ofiarnych, gdy w rzeczywistości były to przeważnie, choć nie wyłącznie pomniki grobowe.

Pomników tych istniało niegdyś znacznie więcej niż dziś. Wieki intensywnej uprawy roli, i pogoń za materiałem budulcowym starły z powierzchni ziemi setki megalitów. Nie inaczej było i w Polsce. Część kamieni z obstawy „żałek" Wietrzychowickich zużył na budowę spichrza i stodoły właściciel sąsiedniego folwarku. Jeszcze gorzej poszczęściło się dziewięciu „żałkom" w Sarnowie. Utraciły całą obstawę, przemieniona w brukowaną nawierzchnię pobliskiej szosy. Zrekonstruowane po zbadaniu grobowce pozostały „megalitycznymi" tylko z nazwy, skoro właśnie głazów-megalitów zabrakło. Największy ze znanych „grób kujawski" z Gaju pod Izbicą zachował się tylko w swej najszerszej i najwyższej partii. Resztę zniwelowała orka i dopiero wykopaliska pozwoliły ustalić, że olbrzymi ten nasyp dochodził do 130 m długości. Dziś otaczamy „żałki" troskliwą opieką i słusznie, bo to największe na naszych ziemiach pradziejowe pomniki, jeśli pominąć podkrakowskie kopce „Krakusa" i „Wandy", pochodzące zresztą z zupełnie innej epoki. Są przy tym „grobowce kujawskie" ciekawym i efektownym elementem krajobrazu i powinny by stać się takim celem wycieczek jakim są już megality angielskie i francuskie, przyciągające turystów z całej Europy. Że o polskich głucho, że znają je tylko nieliczni fachowcy, to jeden więcej przykład naszego talentu w dziedzinie organizowania ruchu turystycznego.

A może winne tu są nazwy? Istotnie w porównaniu z romantycznym patosem „grobu olbrzyma" czy „druidycznego ołtarza" nasza kujawska „żałka" brzmi skromnie, chciałoby się powiedzieć — ludzko. Tak właśnie jakby pod trójkątnym nasypem zamiast anonimowych ludożerców sprzed 5.000 lat spoczywał ktoś znany, nawet bliski. Ktoś w kim trzeba widzieć nie tylko przedmiot badań i ciekawości, ale także równego nam człowieka.

Maj, 1965 r.

ANDRZEJ NADOLSKI

LECH UTRACKI

Diament — znaczy niezwyciężony

Do państwa B. przyjechała babcia. Po kilku dniach otwarłszy szafę wykrzyknęła: „Tyle macie ubrań, a ani jednego brylantu." U znajomych poznałem młode małżeństwo. Inżynierowie. Pani domu chcąc zrobić gościowi przyjemność zauważyła: „Jaki piękny ma pani ametyst." „Ametyst! — wykrzyknęła tamta — skąd pani wie, że to ametyst. Dostałam go dopiero wczoraj od męża." Wreszcie inna podsłuchana rozmowa. „Co za kamień nosi pani w pierścionku?" „Diament" — odparła krótko starsza z pań. „Diament? — zdumiała się młoda kobieta z rozjaśnioną grzywką — zawsze sobie wyobrażałam, że diamenty są czarne."

Przytoczone rozmowy dowodzą niezbicie, że stan wiedzy o kamieniach szlachetnych, a zwłaszcza o brylantach jest żenująco niski. Chcąc zaradzić tej sytuacji tygodnik „Odgłosy" opublikuje małą encyklopedię brylantów.

DIAMENT: (od greckiego „adamas" — niezwyciężony). Bezbarwny lub lekko zabarwiony przezroczysty minerał krystaliczny, najtwardsza na ziemi substancja. Trzy i pół raza cięższy od wody, zbudowany jest z chemicznie czystego węgla (gdy mleczny lub lekko zabarwiony zanieczyszczony śladowymi ilościami tlenków metali: żelaza, magnezu, wapnia tytanu, krzemu...). Naświetlany promieniami ultrafioletowymi wykazuje błękitnawo—niebieską lub zielonkawą luminiscencję. Największe złoża diamentowe znajdują się w Afryce, na Syberii, w Brazylii oraz w Kanadzie. Nazwa diament obdarza się również wszelkie diamenty szlifowane lecz nie według szlifu brylantowego oraz brylanty uszkodzone.

BRYLANT: — diament o specjalnym szlifie. Szlif brylantowy został wynaleziony przez szlifierzy francuskich i włoskich w XVII wieku. Szlifowany nowocześnie brylant winien posiadać 56 ścian (fasetek) oraz koronę i podstawę, to znaczy górną i dolną płaszczyznę.

Uff! Wystarczy tych suchych informacji. O brylantach pisali pisarze i poeci, kolekcjonowały, ba, modliły się do nich kobiety, badali alchemicy i naukowcy dzisiejszej doby.

Legenda hinduska mówi, — że diamenty rodzą się tam, gdzie uderzy piorun. Innego zdania był sir John Mandeville. W 1371 roku wywodził on, iż: „Diamenty są obu rodzajów: męskie i żeńskie. Zawierają między sobą związki, w wyniku których rodzą się małe diamenciki, rosnące z każdym rokiem. Hodowałem je sam na skale podlewając rosą majową. Małe z roku na rok robiły się coraz większe". Amerykańska poetka i dziennikarka Ella Wilcox dowodziła, iż: „diamenty są to zamienione w lód łzy upadłych kobiet" a inna Amerykanka, Anita Loo ustami bohaterki swej powieści wzdycha: „brylanty to najlepsi przyjaciele dziewczyny". Może dlatego brylant stał się kamieniem zaręczynowym (węglowym?). A że zerwanie zaręczyn nie zawsze powoduje zwrot pierścionka, niejaka pani Peggy Hopkins Joyce, zamężna sześć razy a pięćdziesiąt razy zaręczona zdołała zebrać całkiem niezłą kolekcję brylantów ze 127—karatowym „Portugalczykiem" (wartości około 300 tysięcy dolarów) znajdującym się obecnie w Muzeum Smitsonianskim w Waszyngtonie.

Wypada mi chyba uspokoić kandydatów do ślubnego kobierca: 127—karatowy brylant pierścionka zaręczynowego (jeden karat jest to 0,2 g) jest rzadkością. Przeciętny brylancik zaręczynowy waży zaledwie 1/3 karata! Ale pomyślcie co za lokata kapitału! W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat cena brylantów wzrosła 8—12—krotnie. Najbogatsze południowoafrykańskie kopalnie są wyeksploatowane, a zapotrzebowanie rośnie. Diamenty wykopuje się w Afryce drążąc coraz dalej w głąb ziemi wzdłuż wygasłych przed milionami lat wulkanicznych kominów. Jednak im głębiej tym gorsze, tym drobniejsze diamenty. Mimo nowych odkryć na Syberii, mimo opracowania syntetycznych metod otrzymywania diamentów ceny idą w górę tak, iż aktualnie na rynku światowym jednokaratowy diament wyceniany jest na około 1400 dolarów. Pomyśl, piękna damo, nurki zjedzą ci mole, syrenka po kilku latach eksploatacji będzie zdatna na szmelc, choćby tylko z powodu braku części zamiennych, a brylant zawsze pełen blasku, niezmiennie piękny, nieustannie wzrastać będzie w cenie. Nawet jeśli pewnego dnia spostrzeżesz, że jego blask zmatowiał, nie warto się przejmować — to nie oznaka starzenia się kleinotu, ani złty znak". Przypomnij sobie, o Piękna, że poprzedniego wieczora trzymając w śnieżnych rączkach udko kurczaka obgryzałaś je, całkowicie oddana rozkoszom obżarstwa. To tłuszcz z ptaka przywarł do powierzchni kamienia: Brylant posiada szczególne pokrewieństwo do smarów i tłuszczów: by usunąć zmatowienie wystarczy przetrzeć kilkakrotnie miękkim filcem

Diamentom przypisywano często role dobrego lub złego talizmanu. Napoleon Bonaparte nosił pierścień z 34-karatowym brylantem. Wierzył, że kamień przynosi mu szczęście. W czasie bitwy pod Waterloo pierścień zginął i dotąd nie został odnaleziony. Inny, 44-karatowy brylant Hope do dziś jest nazywany kamieniem nieszczęścia. Do Europy przywiózł go francuski podróżnik Tavernier. Ukradł on kamień hinduskiemu bóstwu, Tavernier zmarł w nędzy ograbiony przez bratanka. Los następnych posiadaczy: Ludwika XVI i Marii Antoniny jest znany. Nieszczęścia prześladowały wszystkich następnych posiadaczy klejnotu aż po angielską rodzinę Hope, która w krótkim czasie straciła całą fortunę. Kolejny posiadacz brylantu — sułtan turecki — niemal natychmiast po nabyciu kamienia został zdetronizowany. Dzisiaj fatalny kamień znajduje się w muzeum.

Diament zbudowany jest z takich samych atomów węgla jakie składają się na dobrze znany węgiel opałowy, sadze, grafit ołówka czy „węglik" zażywany przez ludzi chorujących na nadkwasotę. Ta informacja dla każdego z nas była kiedyś zaskoczeniem. Cóż dopiero powiedzieć o współczesnych Newtonowi! To właśnie Newton na podstawie zdolności diamentu do załamywania światła doszedł do wniosku, iż musi on być zbudowany z węgla i winien dać się spalić. Dwudziestoletnie próby spalenia minerału uwieńczyli akademicy florenccy, którzy umieściwszy kamień w ognisku wielkiego zwierciadła podpalili go promieniami słońca. Co za piękny poetycki motyw!

Diament posiada najgęściej upakowaną strukturę krystaliczną, w której każdy stosunkowo mały atom węgla czterema łapkami swych wartościowości trzyma cztery inne atomy znajdujące się w narożach czworościanu regularnego, siła wiązań jest duża, odległości małe, budowa najpiękniej regularna więc stąd wynikają owe szczególne własności diamentu. Jakkolwiek jest on najtwardszym znanym ciałem, tym nie mniej po kilku uderzeniach miękkim (stosunkowo!) stalowym młotkiem łatwo go rozbić na diamentowy pył — znaną truciznę przebiegłych średniowiecznych trucicieli włoskich.

Europejska część historii diamentów związana jest z odkryciami geograficznymi. Choć diamenty znane były w starożytnej Azji do Europy przywieziono je dopiero w czasie wojen krzyżowych (XII wiek). 500 lat później wynalezienie szlifu brylantowego uczyniło je szczególnie atrakcyjnymi dla pięknych czy raczej majętnych białogłów. W XIX wieku odkryto złoża diamentowe w Afryce Południowej, a w latach trzydziestych naszego wieku syberyjskie.

A może by tak samemu poszukać diamentów? Hm, pomysł ciekawy lecz najpierw policzmy. Z rachunku statystycznego wynika, że gdybym działając celowo założył kopalnię diamentów i skrupulatnie ziarnko po ziarnku piasku przeszukał 400 milionów metrów sześciennych wydobytej ziemi to znalazłbym (statystycznie!) 10 metrów sześc. diamentów. Wspaniale! Po bliższym przyjrzeniu okazuje się jednak, że z tego połowa to bezwartościowy pył diamentowy (trucizna?!), 3 metry sześcienne to diamentowy proszek z zastosowaniem jedynie do celów przemysłowych. Pozostają 2 metry sześcienne, z których po oszlifowaniu otrzymałbym niecały metr sześcienny brylantów. I czy to się opłaca?

Największy znaleziony diament, tzw. Cullinan, ważył 3106 karatów. Przecięcie go na nadające się do szlifowania kamienie powierzono szlifierzowi amsterdamskiemu, J. Asscher'owi. Po kilku miesiącach studiów, zapewniwszy sobie obecność lekarza przystąpił do rozłupywania. W tym celu posłużył się ciężkim, stalowym prętem i stalowym toporem rzeźnickim. Po pierwszym uderzeniu zemdlał; diament został zaledwie nadłamany. Dopiero drugie uderzenie rozłupało kamień na dwie części ściśle według zamierzonego podziału. W posiadaniu korony brytyjskiej znajdują się teraz dwa największe brylanty świata: 530-karatowy Cullinan I i mniejszy odeń Cullinan II romantycznie zwane Gwiazdami Afryki. Bardziej popularny od nich jest 109-karatowy brylant Koh-i-noor o najpiękniejszym niebieskim blasku, o genealogii sięgającej 660 lat wstecz, do czasów radży Malwy.

A jak naprawdę powstają diamenty? Ze względu na ogromną gęstość upakowania sieci krystalicznej dawno już przypuszczano, że diamenty muszą powstawać w warunkach szczególnie dużego ciśnienia i wysokiej temperatury. Hipoteza ta została potwierdzona eksperymentami dopiero 10 lat temu. W 1955 roku w laboratorium naukowym General Electric pokazano garść żółtawego żwirku — były to pierwsze otrzymane przez człowieka diamenty. Uzyskano je przez przemianę grafitu w temperaturze 2300 st. C i przy ciśnieniu około 100 tysięcy atmosfer. Przemiana ta jest odwracalna i w podobnych warunkach można diament zamienić w grafit. Dotychczas diamenty syntetyczne mają jedynie znaczenie przemysłowe — są małe i brzydkie. Aktualnie produkuje je ZSRR, USA oraz Japonia.

Kto posiada największą kolekcję brylantów? Podobno znajduje się ona w Zimowym Pałacu w Leningradzie. Najsłynniejsze brylanty spoczywają w Tower w Londynie, a największą ilość diamentów oglądało oko ludzkie w czasie diamentowego jubileuszu Agi Khana w Bombaju w 1946 i Dar-es-Salam w 1947, kiedy to posadziwszy sułtana na jednej szalce wagi na drugą sypano diamenty. W obu przypadkach sułtan ważył około 546 tysięcy karatów i ta ilość diamentów wartości około 2.200 tysięcy dolarów została ofiarowana na cele dobroczynne. Nie tej miary co prawda, lecz niemal równie legendarnym posiadaczem diamentów był John Hopkins. Posiadał kolekcję ponad 20 tysięcy kamieni. Zmarł na kamienie nerkowe i na badania oraz walkę z tą chorobą przeznaczył cały majątek.

Największym zbiorem brylantów jakim ozdobiono jeden przedmiot jest korona carycy Katarzyny: 5 tysięcy brylantów, wśród nich kilka 50-karatowych. Na szczycie korony znajduje się 400-karatowy, największy rubin świata — jakby samych brylantów było mało. O kobieto, kobieto nieokiełzana w zachłanności swojej.

* * *

W trakcie zbierania materiału do artykułu złożyłem wizytę łódzkiemu „Jubilerowi".

— W ciągu dziesięciu lat przez nasze ręce przeszło kilka brylantów 3—4-karatowych. Kolega widział niedawno 6-karatowy.

— A czy panowie szlifujecie brylanty? — zapytałem starszego sympatycznego pana.

JULIAN BRYSZ

Pan inżynier — dziewczynka do wszystkiego

Inżynier pracuje faktycznie 2—3 godziny dziennie... Plany postępu technicznego pozostają niezrealizowane... Mamy w przemyśle procentowo więcej inżynierów niż ZSRR i USA... W ciągu pięciu lat pragniemy podwoić ich liczbę...

Kilkuset inżynierów łódzkich z pięciu różnych gałęzi przemysłu poproszono o odpowiedź, jak zużytkowują swój czas biurowy. Dla jasności dalszych rozważań, musimy przytoczyć wyniki rozpisanej wśród nich ankiety:

- przygotowanie planu dnia pracy — 22 minuty
- czas na pracę wymagającą kwalifikacji inżynierskich — 173 minuty
- czas na pracę nie wymagającą kwalifikacji — 90 minut
- straty z braku organizacji — 28 minut
- narady, konferencje — 51 minut
- przekazywanie informacji, zleceń i dyspozycji — 50 minut
- praca polityczno-społeczna — 20 minut
- inne czynności, wynikające ze specyfiki zakładu — 46 minut

Odpowiedzi przedstawicieli poszczególnych gałęzi przemysłu różnią się między sobą tylko minimalnie, co wskazywałoby na daleko posuniętą prawidłowość opisanego podziału pracy, a zarazem prawdziwość wypowiedzi. Największe różnice spotykamy w wymiarze pracy „kwalifikowanej". Włókiennicy oceniają ją na 130 minut dziennie, chemicy natomiast — na 190 minut.

Choć ankieta była anonimowa, tak szczere przyznanie się do nieproduktywności świadczy o dużej odwadze cywilnej inżynierów. Dowodzi także, iż ludziom tym już dostatecznie sprzykrzyło się „zbijanie bąków" i marnotrawienie czasu. Zatem, acz z zażenowaniem, czas pracy kwalifikowanej, „wystoperowany" przez inżynierów, musimy przyjąć za całkowicie wiarygodny.

W ten sposób jednak nie uzyskamy jeszcze wyjaśnień, dotyczących wydajności i celowości tej pracy.

ZMARNOWANA ENERGIA

Swego czasu podjęto w Polsce modernizację odlewni żelaza — zakładów o jednorodnym „profilu", gdzie raz opracowany projekt unowocześnień, dałby się powielić w dowolnej ilości egzemplarzy. Jednak każdy zakład przeprowadzał zmiany... na swoją rękę, w oparciu o projekty własnych specjalistów. Było to typowe i bardzo u nas częste dublowanie roboty. Dodajmy, iż zespół wyspecjalizowany w tym jednym tylko kierunku, przygotowałby na pewno projekt lepszy i tańszy, niż osiągane sposobem „chałupniczym".

Dodajmy również, że wiele przygotowanych pieczołowicie projektów inwestycyjnych i opracowań konstrukcyjnych, w ogóle nie ogląda światła dziennego z powodu zmiany tzw. założeń wstępnych, co daną budowę czyni nieaktualną. Zaiste, nikt jeszcze nie pokusił się o dokonanie remanentu w biurach konstrukcyjnych, ani o ocenę ilości „bubli" spoczywających w szufladach tych biur.

Tyle najważniejszych znaków zapytania, co do celowości. Kwestią równie ważną jest wydajność pracy inżynierów. Wybitny specjalista w tym zakresie, prof. Janusz Tymowski, określa obecny stan mianem „zastoju w technice pracy". Brak jest — pisze on w swoim memoriale — arytmometrów, maszyn do pisania; przypadkiem tylko spotyka się szereg specjalnych narzędzi kreślarskich, bardzo poważnie przyśpieszających pracę; zupełnie nieznane są nowoczesne urządzenia do opisywania rysunków w formie drukarek lub specjalnych maszyn do pisania, mocowanych na przykładnicy.

Swoistą gehennę przeżywają konstruktorzy. Każda nowa maszyna czy urządzenie powinno zawierać w sobie jak najwięcej detali uniwersalnych, będących w masowym użyciu. Niestety, brak do tego aktualnych katalogów. Okazuje się często, że produkcję detalu, figurującego w katalogu, dawno już zarzucono, lub „chwilowo" wstrzymano. Wówczas projekt wraca ponownie na deskę konstruktora do tzw. „przeprojektowania" szczegółów.

Dopiero przez pryzmat wszystkich wspomnianych i wielu pominiętych tu zastrzeżeń, uzyskamy właściwe spojrzenie na owe 173 minuty, poświęcane pracy kwalifikowanej. W takim świetle ów ułamek dnia roboczego, wykorzystywany zgodnie z przeznaczeniem i kwalifikacjami inżyniera, skurczyć się musi jeszcze co najmniej o połowę.

A CO Z RESZTĄ CZASU?

Powiedzmy sobie szczerze, tę resztę trwonimy w sposób najzupełniej beztroski. Powstaje pytanie, czemu służą narady i konferencje, skoro to, co w założeniu powinno być ich treścią, trzeba wyodrębnić w osobną rubrykę, tzn. „przekazywanie zleceń i dyspozycji". Dalej — biorąc pod uwagę, że inżynier poświęca każdorazowo 22 minuty na „przygotowanie dnia pracy", można logicznie wysnuć wniosek, że rano nie wie on absolutnie, co będzie w ciągu dnia robił. Jakby nie dość było tych znaków zapytania, ankieta ujawnia jeszcze rubrykę „straty z braku organizacji", co kosztuje każdego dnia 28 minut na osobę.

Zliczmy teraz wszystkie pozycje „organizacyjne" (22 + 28 + 51 + 50) i otrzymaną sumę 151 minut porównajmy z czasem pracy kwalifikowanej (173 minuty). Obie wartości tylko nieznacznie różnią się między sobą. **Zaiste, dziwny to system organizacyjny, w którym przygotowanie pracy zajmuje niemal tyle czasu, co sama praca, zresztą — jak udowodniliśmy powyżej — praca niezbyt wydajna.**

Przyczyn takiego stanu rzeczy nie sposób dociec. Są one — naszym zdaniem najzupełniej irracjonalne. Może szukać ich trzeba w narodowej skłonności do gadulstwa, czego historycznym dowodem byłyby na przykład sejmiki szlacheckie?

„Załatwiliśmy" w ten sposób dwa człony dnia roboczego inżynierów: pracę zgodną z kwalifikacjami i omawianie tej pracy. Pozostaje jeszcze człon trzeci — praca nie wymagająca kwalifikacji inżynierskich, zajmująca w poszczególnych gałęziach przemysłu od 65 do 110 minut dziennie, średnio zaś dla wszystkich — 90 minut. **Możemy przyjąć za pewnik, że praca o takim charakterze jest marnowaniem drogocennych umiejętności, nabytych w ciągu kilku lat studiów, jest więc niesłuszna ze społecznego punktu widzenia.** Ale tutaj przynajmniej przyczyny są jasne.

Zgodnie z doświadczeniami krajów wysoko rozwiniętych, na 1 inżyniera powinno przypadać średnio 3—4 techników. Okres wojny przetrwało w Polsce 7 tysięcy inżynierów z kadry 13-tysięcznej, jaką mieliśmy przed rokiem 1939. Dla techników wielkości te wynoszą 35 tysięcy w roku 1939 i 25 tysięcy w roku 1945.

Szkolnictwo wyższe zaczęliśmy rozwijać natychmiast po wyzwoleniu, natomiast o poważnej rozbudowie średniego szkolnictwa zawodowego pomyślano dopiero około roku 1960. **Skutek jest taki, że obecnie mamy 110 tysięcy inżynierów i 208 tysięcy techników (zaokrąglone dane z roku 1964), czyli stosunek gorszy nawet niż 1:2.**

Na początku lat pięćdziesiątych, kiedy formowała się większość obecnie istniejących instytucji, łatwiej było o inżyniera niż o technika. Z drugiej strony ogrom zadań, jakim miały podołać nieliczne wówczas biura projektowe, czy działy konstrukcyjno-technologiczne, sprawiał, że każdy kierownik takiej placówki chętniej zatrudniał inżynierów niż techników czy maszynistki, wolał „omnibusów" niż pomocników. A jeśli pomocniczy pracownicy istnieli nawet w tych placówkach, to „zjadły" ich kolejne redukcje personelu administracyjnego, bo tam najchętniej, a nie w działach typowo urzędniczych, szukano tzw. „rezerw".

Toteż obecnie inżynierowie nie tylko zastępują kreślarzy i rachmistrzów, ale sami muszą nawet przepisywać swoje prace na maszynie. Stąd też owe 90 minut pracy niekwalifikowanej. Co gorsza, takie zjawiska nikogo na ogół nie dziwią, kierownicy poszczególnych przedsiębiorstw i instytucji zapomnieli już najwidoczniej, jak powinna wyglądać praca inżyniera i nie robią nic, albo bardzo niewiele, dla zmiany tego paradoksalnego stanu

W pewnym, znanym nam biurze konstrukcyjno-technologicznym jednego ze zjednoczeń przemysłowych, pracuje 20 inżynierów. Do niedawna każdy z dwóch kierowników działów musiał codziennie przeglądać całą pocztę, następnie rozdawać ją poszczególnym pracownikom w celu opracowania i przepisania odpowiedzi, z kolei zbierać te „owoce", czytać, poprawiać i wysyłać. Ostatnio przydzielono do biura jedną kwalifikowaną urzędniczkę, która przejęła całą tę pracę, z grubsza tylko uzgadniając z zainteresowanym treść danej korespondencji.

Powyższy przykład wskazuje, **jak stosunkowo niewielkim kosztem można odciążyć inżynierów od pracochłonnych czynności administracyjnych.** Trudniejsza sprawa z technikami do prac kreślarsko-obliczeniowych, ale i tych ostatnich przybywa tak wielu, że w krótkim czasie będzie można choć częściowo uzupełnić braki. Oczywiście, pod warunkiem, że tzw. czynniki decydujące zmienią swój punkt widzenia na to, co inżynier rzeczywiście robić powinien. Nie wystarczą tu bowiem półśrodki, potrzebna jest generalna zmiana „struktury kadrowej" biur projektowych i innych tego typu placówek, potrzebne są nowe zasady wewnętrznego podziału pracy, opracowane właśnie pod kątem optymalnego wykorzystania możliwości i kwalifikacji inżynierów.

MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ

Przygotowując plany unowocześnienia produkcji, 12 łódzkich zakładów przemysłu elektromaszynowego zgłosiło na lata 1966—1970 zapotrzebowanie na 421 inżynierów-mechaników i elektryków.

Zakłady te stanowią czwartą część potencjału produkcyjnego Łodzi, a pragnęłyby „zagarnąć" przeszło połowę absolwentów, których w tym okresie dostarczy Politechnika Łódzka. Dodajmy, że w myśl zarządzenia przewodniczącego Komitetu Pracy i Płac, żaden z wielkich zakładów w miastach wojewódzkich nie ma prawa zatrudniania absolwentów. Gdyby nawet zarządzenie to, podyktowane troską o nasycenie kadrami prowincji, udało się nieco złagodzić, to i tak zapotrzebowanie wspomnianych zakładów wydaje się przynajmniej 5-krotnie przekraczać możliwości uczelni.

Przemysł musi się unowocześniać, to pewne. Niemniej pewne jest, że spodziewanej liczby inżynierów nie dostanie. Pozostaje więc tylko jedno wyjście: **lepiej wykorzystać istniejącą kadrę, stworzyć jej właściwe warunki pracy.**

Przypuszczam, że takie postawienie sprawy spotkałoby się również z aprobatą samych inżynierów. Jak wykazują wyniki ankiety, zbrzydła im już dostatecznie rola „dziewczynek do wszystkiego", odczuwają niedosyt pracy koncepcyjnej, twórczej. Woleliby na pewno rzucać śmiałe pomysły nowych rozwiązań, niż jednym palcem wystukiwać sprawozdania na maszynie.

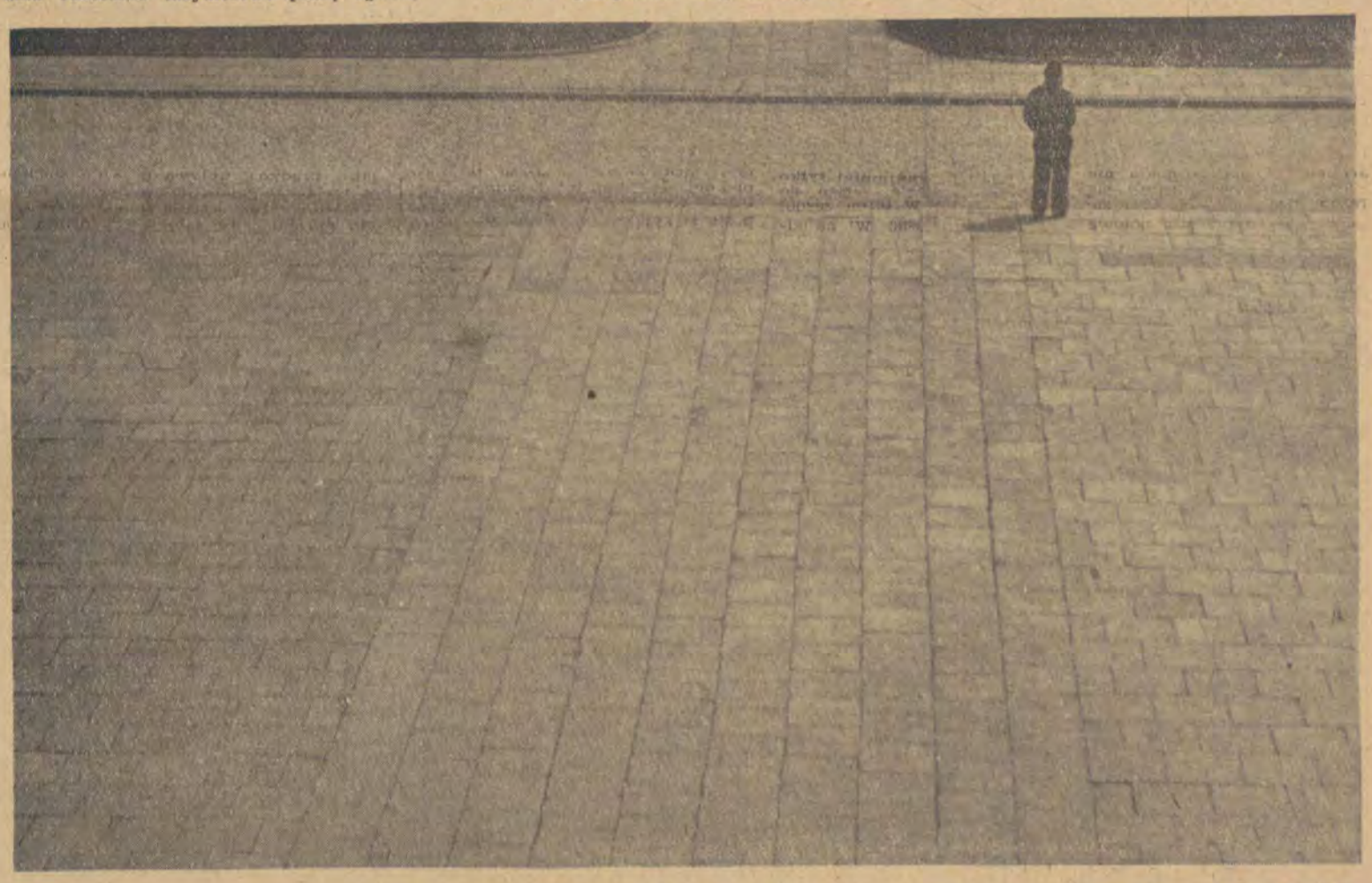

Foto: Marek Korczak-Idziński

— Ależ skąd — zdumiał się mą ignorancją. — W Polsce znajdują się dwie szlifiernie (Warszawa, Kraków), które przeszlifowują uszkodzone brylanty. Diamenty szlifuje się jedynie w Holandii, USA, ZSRR, a ostatnio w Izraelu.

— Ile kosztuje brylant lub diament 1-karatowy?

— Brylant... zależy jaki. Według taryfy oficjalnej 40 tysięcy złotych. Ale w zależności od szlifu, barwy, doskonałości może osiągnąć 60—70 tysięcy. Tyle mniej więcej kosztuje w „Łodziance" i „Akademickiej". — dodał po chwili z wahaniem — no, a diamenty są około dziesięć razy tańsze. Diament w trakcie szlifowania traci do 65 proc. wagi. A praca, a ryzyko...

— Brylant 1-karatowy o szlifie nowoczesnym ma średnicę 6,4 mm. Jest to więc duży — piękny kamień. Ile wynosi cło?

— Cło na brylanty? — zapytał zaskoczony pan w ciemnozielonym mundurze — Jeśli pan chce brylanty wysyłać z kraju musi pan przesłać je do oszacowania Głównemu Urzędowi Ceł. Jeśli otrzyma pan zezwolenie, to równocześnie wyznaczą wysokość cła; zazwyczaj wynosi ono 100 proc. wartości. No, a gdyby pan chciał przywieźć, to cło wynosi 100 złotych za jeden gram brylantów. Taniocha.

Jaki jest największy brylant w kraju? Bardzo trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Moja znajoma jako dziecko przed wojną w Warszawie oglądała brylant 30-karatowy. Właścicielką była jakaś nowobogacka, obnosząca klejnoty przez cały dzień. Dzisiaj w posiadaniu prywatnych osób znajdują się brylanty o maksymalnej wadze 6 do 15 karatów.

Pan Ruszczyński — pilot, adwokat, złotnik, właściciel i spadkobierca znanego przed wojną w Warszawie zakładu jubilerskiego opowiada: „Nie było nigdy w Polsce wielkich, sławnych kamieni. Największe brylanty sprzedaliśmy z ojcem bankierowi Szereszewskiemu. Była to para oprawnych w platynę butonów po 39 karatów każdy. Ale to kpiny, proszę pana, czyste kpiny — pod takim ciężarem ucho by się urwało. Była też w Warszawie pani Popowska — żona naczelnego inżyniera Ostrowieckich Zakładów. Miała taką ilość pierścieni z kamieniami, że nie mieściły jej się na palcach. Robiliśmy dla niej specjalne pierścionki z widełkami zachodzącymi na rękę. Dopiero w widełkach umieszczało się kamień. Pamiętam, w ramach odszkodowań wojennych za sprzęt kolejowy dostaliśmy w 1920 roku od Związku Radzieckiego biżuterię za 11 milionów dolarów. Było tego ponad 70 kasetek. Wśród tych kamieni był różowy unikalny 9-karatowy brylant, który później sprzedaliśmy do Ameryki za 36 tysięcy dolarów. Teraz, niestety, prawie wszystkie brylanty są już wywiezione z kraju. Od czasu do czasu zobaczy się coś. Przed rokiem szacowałem 15-karatowy kamień. Niedawno w „Jubilerze" w Warszawie był brylant 5-karatowy. Kosztował 470 tysięcy złotych. Ale to okazy. Już jeden karat trudno teraz zdobyć. Wywieziono proszę pana, brylantów za grube miliardy".

Na lotnisku amsterdamskim w gablotach wyłożone są pierścionki z brylantami o niskiej wartości. Można je tu kupić o 20 proc. taniej niż w mieście. Cena około 60 dolarów. Ale ostrożnie — spośród wszystkich kamieni szlachetnych brylanty są najczęściej imitowane. Imitacje mogą być z minerałów szlachetnych lub półszlachetnych — białego szafiru, cyrkonitu, topazu, spinelu, kwarcu — lub po prostu ze szkła ołowianego.

O ile niegdyś diamenty traktowano wyłącznie jako surowiec na klejnoty, dzisiaj 85 proc. kamieni znajduje zastosowanie w technice. Powszechnie w wiertnictwie geologicznym stosuje się wiertła z koronką, na której osadzono 6 do 12 diamentów 0,5—3-karatowych. Piły diamentowe, świdry, rylce, filiery do ciągnięcia cienkich drutów — to wszystko narzędzia nieodzowne współczesnemu technologowi.

Po cofnięciu blokady gospodarczej Zw. Radzieckiego przez państwa zachodnie, jednym z najskrupulatniej, najrygorystyczniej przestrzeganych ograniczeń był zakaz sprzedaży ZSRR diamentów przemysłowych. Poszukiwania geologów radzieckich zapewniły krajowi samowystarczalność również i w tej dziedzinie. W latach pięćdziesiątych wykryto bogate złoża diamentów między Leną a Jenisejem. Aktualnie produkcja diamentów w ZSRR sięga miljonów karatów rocznie. (W 1957 roku światowa produkcja wynosiła 32 miliony karatów).

LECH UTRACKI

ZDZISŁAW PIGOŃ

Niech będzie IRKA

Kopa obracał na wszystkie strony podany przez Cichego arkusz papieru.

— To zupełnie niezrozumiałe — skąd to masz? — zapytał.

— Zerwałem z płotu, był przybity pineskami. Po drugiej stronie ulicy, na bramie, był taki sam, ale się bałem zdjąć — zebrało się sporo ludzi, którzy to czytali.

— Pokazywałeś ten papier Oraczowi?

— Nie. Z Oraczem widziałem się niedaleko dworca. Mówiłem mu o tym, powiedział, że zaraz będzie u ciebie.

Kopa starannie złożył papier na osiem części i wepchnął go do małej kieszonki od zegarka. Wyciągnął do Cichego rękę z pudełkiem papierosów własnej roboty.

— Zapal i opowiedz wszystko jeszcze raz. Musimy się zastanowić. To niesamowita historia. Nie wiadomo czy nie ma w tym jakiegoś podstępu ze strony Niemców.

Cichy zaciągnął się głęboko papierosem i już spokojnie relacjonował:

— Wiesz Kopa, że dzisiaj przed południem miałem być u Sowy, ale pomyślałem sobie, że będzie lepiej jak pójdę rano. Na ulicach wtedy jeszcze mały ruch i bezpieczniej. Niosłem dla Sowy dwie matryce naszej odezwy, którą miał zrobić na jutro. Nagle widzę, że przy jednym z płotów zbiera się duża grupa ludzi. Coś czytają. Początkowo myślałem, że to jedno z wielu niemieckich ogłoszeń, ale zorientowałem się szybko, że to coś innego, ponieważ ludzie, rzuciwszy okiem na papier, niemal biegiem, odchodzili z tego miejsca. Nie chciałem ryzykować, miałem przy sobie matryce, ale coś mnie korciło podejść. Rozejrzałem się na wszystkie strony czy nie nadchodzi jakiś patrol i jednym skokiem byłem przy płocie. Przeczytałem i zaraz zrozumiałem, że to nie nasza robota.

— Nikt cię nie widział przy tym?

— Było tam kilka osób, robotników z pobliskiej fabryki, myślę jednak, że mnie nie znają.

— No, a potem?

— Potem wpadłem do bramy tego narożnego domu przy Kolejowej i drugą bramą wyszedłem na Browarną. Wpadłem na Oracza. Spóźnił się do fabryki i leciał biegiem. Powiedział, że urwie się z pracy. Jego majster to swój chłop.

— Matryce, oczywiście, masz przy sobie. Trzeba je koniecznie dostarczyć do Sowy. O tym pogadamy później, jak przyjdzie Oracz. Teraz nie wychodź nigdzie aż wrócę.

Kopa wyszedł. Przewidywania jego były słuszne. Niemcy szaleli. Prawdopodobnie przed godziną dopiero dowiedzieli się o likwidacji konfidenta Majdy. Likwidacji dokonała konspiracyjna komórka GL, którą dowodził Oracz. Kopę, który uczestniczył w akcji, dziwiła ta aktywność Niemców. Majda jako konfident, służąc Niemcom, nie cieszył się przecież i u nich dobrą opinią. Być może likwidacja była także na rękę Gestapo. Usuwała spalonego i niewygodnego świadka ich zbrodni, popełnianych w mieście, a ponadto dawała pretekst do wszczęcia jeszcze bardziej ostrych represji wobec Polaków. Likwidacja Majdy nie była szczęśliwym pomysłem, ale koniecznością. Majda wpadł na trop organizacji i nie było innego wyjścia.

Sowa od dawna czekał już na matryce. Zdziwiła go wizyta Kopy, który dla zachowania ostrożności rzadko odwiedzał starą oficynę na przedmieściu.

— Stało się coś z Cichym? — zapytał z niepokojem w głosie.

— W porządku — odparł Kopa — jest u mnie. To młody chłopak, nie chciałem go narażać, zwłaszcza dzisiaj. Zresztą, coś zaczyna mnie niepokoić. Szczególnie ta dziwna historia z ulotką, którą przyniósł mi Cichy. Masz, czytaj.

Sowa ruchem krótkowidza przybliżył zmiętą ulotkę do oczu. Był to znormalizowany, twardy papier maszynowy, na którym drukowanym charakterem pisma układały się rzędy liter, słów i zdań. Sowa czytał:

„...za mordowanie polskich zakładników... za zdradę... dziś w nocy poniósł zasłużoną karę Franciszek Majda, konfident Gestapo... drżyjcie mordercy, Polska walczy..."

Sowa ze zdziwieniem spojrzał na Kopę.

— Skąd to masz?

— Cichy zerwał to dziś rano z któregoś płotu.

— To dziwne, przecież mieliśmy dopiero jutro dać odezwę w tej sprawie.

— Właśnie z tym przychodzę do ciebie. Matryce mam w kieszeni, a tu już wszyscy wiedzą o tym, że likwidacji Majdy dokonała nasza organizacja.

Areopag — Leszek Rózga

— Cholera — Sowa wierzchem dłoni wytarł spocone czoło — to wszystko jest diablo niejasne. Nie chcę być prorokiem, ale wygląda na to, że Niemcy podrobili ten papier.

— Ale tak szybko? Przecież na pewno dopiero rano dowiedzieli się o likwidacji.

— Nie wiadomo. Wiedzieć mogli już w nocy. Zresztą ten pośpiech może świadczyć o tym, że to ich robota. Być może chcieli nas zaskoczyć, być może przypuszczali, że będziemy starali się zdjąć odezwę. Kopa, czy nie zastanowiła cię lakoniczność tekstu? To zupełnie nie w naszym stylu. Tu, w tym tekście, brak istotnej motywacji. Przecież nie chodzi tylko o zwykły akt represji, o zwykłą zemstę. Chyba rozumiesz. Kto wie, czy Niemcy nie postawili przy tych odezwach tajniaków. Gdzie to Cichy zdjął?

— Gdzieś na Kolejowej, niedaleko dworca. Jeśli te papierki były obstawione, to Cichy na pewno zgubił obstawę. Mądry chłopak — wpadł do rogowca przy Browarnej i Kolejowej.

Sowa, doświadczony w pracy konspiracyjnej autor i drukarz wielu odezw, wyciągnął z ukrycia powielacz i zaczął spokojnie zakładać przyniesione przez Kopę matryce. Kopa z podziwem patrzył na ręce Sowy, które niczym, nawet cieniem drżenia, nie zdradzały ogromnego napięcia nerwów i mięśni.

— Ten kawałek — głos Sowy również był spokojny — musicie koniecznie rozkleić na jutro. Cichemu dajcie spokój, na razie wyłączcie go z roboty. A co u Oracza?

— Chyba jest u mnie.

— Zatrzymaj go. Będę tam za kawałek.

Kopa ściągnął mocniej pasek, za który włożył plik, pachnących jeszcze świeżym tuszem drukarskim, odezw. Wyszedł z oficyny Sowy na spokojną podmiejską ulicę...

* * *

Oracz, Sowa i Cichy rozmawiali półgłosem. Zbliżał się zmierzch i kontury mebli w pokoju stopniowo traciły swój kształt. Gryzący dym gilzowych papierosów wypełniał każdy kąt mieszkania. Czekano na Kopę już od kilku godzin. Właściwie trudno powiedzieć: czekano. Wszyscy byli prawie pewni, że Kopa wpadł. Od Sowy wyszedł w południe, miał ponadto przy sobie odezwy. Sparaliżowani myślą o możliwości ujęcia Kopy, nie mogli nawet zdobyć się na rzeczowe rozpatrzenie sprawy tej tajemniczej odezwy.

Było już zupełnie ciemno, kiedy do mieszkania wszedł Mały. Był to członek grupy i oddziałowy „pirotechnik". Pracował w miejscowej fabryce chemicznej i dostarczał dla grupy potrzebnych materiałów wybuchowych. Sporządzał także prymitywne ładunki wybuchowe, ale zupełnie skuteczne i groźne. Nikt właściwie nie wiedział, jak sobie radził z wynoszeniem materiałów wybuchowych z pilnie strzeżonej fabryki. To była jego tajemnica i może kilku niemieckich strażników, którym bardzo smakowała polska wędzonka.

Mały popatrzył po zebranych i parsknął śmiechem:

— Miny macie jak na pogrzebie. Stypa odbędzie się dopiero pojutrze. Niemcy mają podobno urządzić Majdzie pogrzeb na koszt Rzeszy. A to ci heca, chyba to pierwszy Polak, za którego trumną pójdzie orkiestra SD.

— Co się wygłupiasz — Sowa doskoczył do Małego — Kopa... Kopa! Jak Boga kocham. Kopa! — Spojrzał za plecy Małego.

Zza pleców wyłoniła się znajoma sylwetka Kopy. Był nieprzyzwoicie wesoły, jak na kolegę, który tyle strachu napędził zebranym.

— Gadaj, gdzieś był — Oracz zły szarpnął Kopę za ramię.

— Odezwy załatwiłem na cacy. Nawet nie wyobrażacie sobie, jakie jutro Majda będzie mieć nekrologi. Niemcy zamówili klepsydry dla Majdy i dali polecenie w drukarni, aby je rozklejono na jutro. No, nic wam to jeszcze nie mówi?

— Drukarz!!?

— Właśnie! Drukarz rozklei klepsydry i przy każdej machnie zupełnie gratisowo jeszcze jeden nekrolog, ale tym razem już nasz. Wyobrażam sobie Drukarza przy tej robocie.

— To może zaszkodzić Drukarzowi, jeżeli Niemcy dowiedzą się, kto rozklejał klepsydry.

— Ani trochę. Nie będą przecież przypuszczać, że zrobił to jeden i ten sam człowiek.

— A co z ulotką, którą dziś rano przyniósł Cichy — Oracz spoważniał nagle i zwrócił się do Kopy.

— Myślę, że to jakieś nieporozumienie.

— Nie należy bagatelizować sprawy — kontynuował Oracz — Sowa i Cichy opowiedzieli mi wszystko szczegółowo. Zresztą sam dowiedziałem się o tym od kolegów w fabryce. Dobrze, aby i Drukarz także znał sprawę. O akcji „konfident" wiedziało nas tylko kilku, to jest ja, Mały, Kopa, Sowa, no i Cichy, w sumie pięć osób. Drukarza nie zaznajamialiśmy z planem ponieważ, jak wiecie, pracuje wśród Niemców i mógłby, mimo woli, zdradzić się czymkolwiek. Pięć osób... wszyscy jesteśmy tu razem i nikt pary z ust nie puszczał na ten temat — to oczywiste — więc skąd?

— Sowa sugerował... — odezwał się Kopa...

— Wiem — przerwał Oracz — To zupełnie realne, ale ta koncepcja ma pewne luki. Niemcy puściliby przecież odezwy na powielaczu, a nie pisane ręcznie, poza tym na pewno zamknęliby już kilka podejrzanych im osób, które czytały odezwę. Tych papierków, jak twierdzi Cichy, było przecież więcej. Co o tym sądzisz, Mały?

— Myślę — Mały zrobił zakłopotaną minę — że trzeba poczekać do jutra, rozejrzeć się w całej sprawie, powąchać trochę po terenie.

— W pierwszym rzędzie trzeba ustalić — wtrącił się Sowa — o jakiej porze Niemcy dowiedzieli się o likwidacji Majdy. Sprawa delikatna i najlepiej załatwi to Mały.

Mały z aprobatą pokiwał głową. Sprawy wywiadu i zasięgnięcia języka odpowiadały mu najbardziej.

Zasłonięto wreszcie okno i zapalono światło. Siostra Kopy, Irka, podała herbatę. Znalazła się również przyniesiona przez kogoś butelka ziemniaczanki. Kopa wyciągnął z kredensu kawałek wędzonego boczku i czarnego okupacyjnego chleba.

Przy tak zaimprowizowanej kolacji rozpoczęto rozmowę na inny temat. Mały referował swój plan akcji na kasyno policji kolejowej przy dworcu. Zastanawiano się właśnie nad wyborem łącznika, dla nawiązania kontaktu z grupą GL działającą w lesie, gdy nieoczekiwanie włączyła się Irka:

— Sądzę, że bardziej przydałaby się wam łączniczka.

— Łączniczka? Kogo masz na myśli? — zapytał Oracz, który może nie bez kozery poruszył ten temat przy Irce.

— Myślę chociażby o sobie — odparła delikatnie Irka.

— To całkiem dobry pomysł — powiedział Mały — ale nie możemy narażać na niebezpieczeństwo dwóch osób z jednej rodziny.

— A czy sądzicie, że jeżeli Niemcy dostaliby Kopę, to oszczędziliby jego siostrę — broniła się Irka.

— To też racja, ale najpierw trzeba zapytać brata, czy się zgadza na takiego łącznika bez doświadczenia i rutyny w pracy konspiracyjnej?

Kopa z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął dwie kartki złożone na pół.

— Doświadczenia i rutyny Irce jest brak, na pewno, ale wierzę w jej gorącą chęć walki, o czym świadczy ta odezwa, którą znalazłem w kredensie...

Na stół, przed oczy zdumionych kolegów powędrowały dwie pozostałe kartki odezwy pisanej ręcznie, drukowanym pismem, która tego dnia wywołała wśród nich tyle niepokoju i sprzecznych opinii.

— Miałem powiedzieć wam o tym jutro po rozmowie z Irką — ciągnął Kopa — ale ona sama sprowokowała moją decyzję. Myślę, że nie była to dobra robota, ale przecież każdy z nas walkę z okupantem zaczynał w jakiś sposób samotnie. I to właśnie mam na usprawiedliwienie Irki.

Oracz — dowódca grupy — jakoś cieplej spojrzał na Irkę i rzekł:

— Jaki chcesz mieć pseudonim konspiracyjny?

— Niech będzie Irka — odrzekła cicho siostra Kopy.

HORACY SAFRIN

Z „Gawędy o teatrze"

ALEKSANDER GRANACH

Sięgając pamięcią w owe lata rumienię się niczym fin de siecle'owa dziewoja. Wierzcie mi, albo nie wierzcie: byłem „mistrzem" (w najbardziej rzemieślniczym tego słowa znaczeniu), a już na pewno jednym z pierwszych reżyserów światowej sławy aktora — Aleksandra Granacha.

Zetknąłem się z nim przypadkowo, wczesną jesienią 1917 roku. Pod Verdun grzmiały jeszcze pruskie haubice, na przedmieściach Piotrogrodu dojrzewał plan Rewolucji Październikowej — a my w Kołomyi szykowaliśmy wielką zabawę taneczną z „programem artystycznym" na rzecz nowo powstałego Domu Sierot Wojennych. Byłem, że tak rzeknę, duszą i ciałem tej filantropijnej imprezy: konferansjerem, autorem i wykonawcą drobiazgów satyrycznych w jednej osobie.

Wygłosiłem właśnie rymowany prolog i zszedłem z estrady, ustępując miejsca kwartetowi leciwych panów, gdy zaczepił mnie szpakowaty jegomość w mundurze polowym kapitana:

— Chciałbym pana o coś poprosić...

— Służę.

— W naszej kompanii jest taki kaprad, artysta dramatyczny. Chciałby się przedstawić waszej publiczności. Czy pozwoli mu pan cokolwiek zadeklamować?

Przez chwilę wahałem się. Przed oczami zamajaczyła mi postać mego pedagoga, Egona Brechera, nieubłaganego wroga wszelkiej amatorszczyzny. Ale, na przekór wszystkim tym skrupułom, szepnąłem uprzejmie:

— Bitte sehr... W drugiej części koncertu...

Jakże żałowałem tego nieprzemyślanego kroku! Na estradzie zjawił się krępy niezgrabiasz o dużej głowie i pałąkowatych nogach, o grzmiącym, iście jowiszowym barytonie i twardym, terkocącym rrr...

I cóż recytował?

Heinego!

Widzę cmentarza zakochanych, owianą niepowtarzalnym liryzmem i przesubtelną ironią. „Wyszedłem z domu pani mej...".

Co tu dużo gadać? Histrion w mundurze kaprala położył wiersz na obie łopatki, okaleczył go i poćwiartował.

Gdy skończył, wcisnąłem mu do ręki banknot dwudziestokoronowy:

— Oto pańskie honorarium... Lecz proszę — na litość Boską — poprzestać na tej jednej „recytacji"!

Po zabawie tanecznej Granach oczekiwał mnie przed portalem „Sokoła". Pogrążony w smutnych rozmyślaniach towarzyszył mi do hotelu.

Usiedliśmy w staroświeckich fotelach.

— Czy doprawdy odmawia mi pan wszelkiego talentu? — zagadnął nieśmiało.

Zmieszałem się.

— Wie pan... wyraźna dykcja i wytrzymałość strun głosowych, to jeszcze nie wszystko...

Podekscytowany błagalnym spojrzeniem niefortunnego recytatora zacząłem długi, uczony wywód. Mówiłem o narodzinach tragedii, o misteriach i sekulariach, o commedia dell'arte, o dramatach Ibsena.

Umilkłem, nie wyczerpawszy tematu. A wtedy usłyszałem życiorys Granacha. Urodził się w małej galicyjskiej mieścinie, Horodence. Wychował się na uliczce biedoty żydowskiej. Niecały rok uczęszczał do chederu, w szkole ludowej przyswoił sobie umiejętność czytania i pisania. W czternastym roku życia zaczął terminować u piekarza. Gdy przybyło mu nieco lat i doświadczenia w obranym przez ojca zawodzie, zatęsknił za „wielkim" miastem. Przeniósł się do Stanisławowa, gdzie w piekarni Kirszenblata zdobywał czeladnicze ostrogi. Po dźwiganiu pękatych worów z mąką poznał czar dzieży i kociuby...

Zawsze czuł pociąg do sceny. Już jako dzieciak brał udział w chederowych „purimszpilach". W moim rodzinnym mieście wciągnięto go do kółka amatorskiego. Grał w najlichszych sztuczydłach smutnej pamięci „dramatopisarza" Latajnera. Był „Mamonem, bogiem pieniądza", królem Filipem w „Hiszpańskiej inkwizycji"...

Na pożegnanie uścisnąłem mu mocno dłoń:

— Sądzę, że po wojnie nie powróci pan do „obranego przez ojca rzemiosła"...

Odszedł wyraźnie wzruszony.

* * *

Rok 1920. Po powrocie z Wiednia objąłem kierownictwo literacko-artystyczne ówczesnego Towarzystwa im. Goldfadena. Pierwszym moim wielkim sukcesem była inscenizacja sztuki Jakuba Gordina „Bezimienny".

W pewien czas po premierze otrzymałem zaproszenie do Kołomyi. Tamtejsze Towarzystwo „Halewi" pokusiło się również o gordinowskie laury i wybór kierownictwa padł (nie wiem, czy przypadkowo) na tę samą sztukę. Należało rozpocząć próby doprowadzić do pomyślnego końca.

Trudno. Podjąłem się tej niewdzięcznej harówki.

I tu znowuż natknąłem się na Granacha. „Sender", jak go nazywano z żydowska, grał główną rolę demonicznego inżyniera Korszuńskiego. Przez dwa tygodnie borykałem się z jego tubalnym głosem i nieokiełznanym temperamentem.

Wreszcie zaświtał dzień, a raczej wieczór premiery.

Odnieśliśmy bezsprzeczny sukces, a jednak po przedstawieniu, w poufnej rozmowie z prezesem Towarzystwa, nie omieszkałem zauważyć:

— Granach był co prawda niezły, ale nie umywał się do naszego Marka Katza...

* * *

Mijały lata. Mój rozmówca hotelowy zniknął z Kołomyi, wpadł jak kamień w wodę.

Wypłynął w latach dwudziestych. Poznałem go — mimo krzaczastych brwi, cynicznie wykrzywionych warg i pióra koguciego nad czarcim kapeluszkiem. Fotografia zajmowała całą tytułową stronę miesięcznika „Die Bühne", a napis głosił: „Aleksander Granach w roli Mefista".

A oto dalszy życiorys wielkiego artysty:

Po wyjeździe z Małopolski udał się do intendenta byłego Królewskiego Teatru w Berlinie, głośnego nowatora sceny — Leopolda Jessnera. Z trudem i mozołem opanowywał język niemiecki. Gwoli nienagannej wymowy stronił od współwyznawców, zwalczał w sobie naleciałości małomiasteczkowej gwary. Swoje pałąkowate nogi poddał torturom ortopedycznym, po czym na długich sześć miesięcy zakuł je w gips.

Grał kolejno Jaga w „Otello", Wurma w „Intrydze i miłości", Mefista; stworzył niezapomnianą kreację Shyloka. Niektórym scenom tej szekspirowskiej „komedii" towarzyszyła burza oklasków przy otwartej kurtynie.

Potem przeszedł do teatru Piskatora. Tam poczuł się w swoim żywiole. W roli Bezrobotnego w sztuce Ernesta Tollera „Hopla, żyjemy!" rzucił rękawicę kapitalistycznemu światu. Zyskał niebywałą popularność wśród mas robotniczych Berlina.

Nigdy nie „śmierdział groszem". Wysokie zarobki wydawał na lewo i na prawo, znacznymi sumami zasilał fundusze Niemieckiej Partii Komunistycznej.

W 1931 roku, stojąc u szczytu sławy, odwiedził rodzinne strony. W drodze powrotnej zatrzymał się w Stanisławowie i dał na rzecz naszego Studia koncert żywego słowa. Posługując się skąpym gestem odtworzył po mistrzowsku sceny z „Fausta", „Króla Lira", „Kupca weneckiego". Recytował również — w języku żydowskim — poemat J. L. Pereca „Monisz".

* * *

Po zagarnięciu władzy przez Hitlera wraca do Polski. Staje na czele zespołu teatralnego i wystawia (po raz pierwszy) antyfaszystowską sztukę Fryderyka Wolfa „Żółta łata". Z tym scenicznym zwiastunem nadciągającej burzy objeżdża miasta i miasteczka Rzeczypospolitej.

Jego profesor Mamlock był czymś więcej, niż znakomitą kreacją artystyczną: był płomiennym protestem przeciwko rasizmowi i barbarzyństwu, przeciw hordom spod znaku swastyki, przeciw zmowie milczenia potentatów Zachodu.

Po przedstawieniu złożyłem mu wizytę w garderobie. Siedział przed lustrem osowiały, apatyczny.

— Jestem bardzo zmęczony — usprawiedliwiał swe kilkuminutowe milczenie.

I dodał po chwili:

— Proszę mnie dobrze zrozumieć! Ja kocham Niemcy... i Berlin...

Była to nasza ostatnia rozmowa — przed Zbąszynem i zagładą żydostwa europejskiego.

Badania nad historią Łodzi

Redakcja naszego tygodnika zwróciła się do prezesa łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, Pani docent dr Zofii Libiszowskiej, z prośbą o rozmowę na temat aktualnych problemów działalności Towarzystwa.

ODGŁOSY: Jak Pani Profesor ocenia wieloletni dorobek łódzkiego Oddziału PTH?

Dr Z. LIBISZOWSKA: Polskie Towarzystwo Historyczne na terenie Łodzi ma już swoją blisko 40-letnią historię, przerwaną jedynie latami okupacji. Przed wojną Oddział Łódzki PTH grupował przede wszystkim kadrę historyków ze szkół średnich, pracowników muzeum i archiwum, spełniał doniosłą rolę w aktywizacji życia naukowego w środowisku pozbawionym wyższej uczelni. Skupiał ofiarnych i wybitnych członków, wśród nich niezapomnianą postać profesora Zygmunta Lorentza. W warunkach powojennych, w nowej sytuacji naszego miasta, które stało się wielkim ośrodkiem szkolnictwa wyższego, nauki i kultury, rola i zakres Towarzystwa zmieniły się znacznie. Towarzystwo Historyczne skupia dziś w swych szeregach liczną kadrę pracowników naukowych naszego Uniwersytetu oraz znacznie liczniejszą niż w okresie przedwojennym kadrę pracowników archiwalnych, bibliotecznych i innych. Natomiast z żalem stwierdzić muszę, że poważnie zmniejszył się w nim procentowy udział historyków - nauczycieli. Niepokoi nas bierność tej ogromnej, z każdym rokiem rosnącej kadry praktyków.

ODGŁOSY: Jakie są aktualne zadania i zamierzenia PTH?

Dr Z. LIBISZOWSKA: Nasze zadania i ambicje płyną dwoma nurtami. Jeden, podstawowy, to organizowanie środowiskowego życia naukowego historyków pracujących w różnych instytucjach, na różnych szczeblach nauczania, czasem wręcz tylko miłośników historii i samouków. Temu służą comiesięczne zebrania naukowe z odczytami wygłaszanymi przez naszych członków lub zaproszonych z innych ośrodków gości. Inicjujemy i propagujemy badania nad historią Łodzi i regionu, ułatwiając ich publikację w naszym, z trudem utrzymującym się organie „Roczniku Łódzkim", którego jedenasty, powojenny tom jest obecnie w przygotowaniu. Drugi nurt działalności to sprawa popularyzacji wiedzy, upowszechnianie jej w szerokich kręgach społeczeństwa łódzkiego, udział i pomoc w organizowaniu otwartych sesji naukowych w Łodzi i wyjazdowych w terenie. Ta strona naszej działalności manifestowała się szeroko w latach przygotowań do milenium i obchodach 20-lecia PRL.

ODGŁOSY: Czy Towarzystwo napotyka w swej kulturalno-twórczej działalności na jakieś poważniejsze trudności, jeśli tak, jakiego one są charakteru?

Dr Z. LIBISZOWSKA: Pyta pan o trudności. Jest ich wiele. Najdokuczliwszą z nich jest wciąż nieustabilizowany żywot naszego organu „Rocznika Łódzkiego". Z uporem maniaków utrzymać chcemy periodyczny charakter tego pisma, które skupiając wokół redakcji również i młodych autorów rozmiłowanych w przeszłości naszej ziemi, wpływa na aktywizowanie badań nad tak dotychczas zaniedbanym zakątkiem naszego kraju. Dzięki pomocy Łódzkiego Komitetu PZPR, dzięki dotacjom Rady Narodowej m. Łodzi i Wojewódzkiej Rady Narodowej poszczególne numery ujrzały już światło dzienne. Dotacje Zarządu Głównego PTH, któremu organizacyjnie podlegamy, są nieregularne i dorywcze. Raz po raz staje przed nami groźba niewypłacalności wobec wydawnictwa lub autorów. Żeglujemy wśród raf przepisów finansowych, zarządzeń i regulaminów, w ciągłej obawie roztrzaskania naszej inicjatywy wydawniczej o jakiś nieznany paragraf. Ponadto, zależąc całkowicie i wyłącznie od dotacji władz centralnych, podlegamy od lat kilku bolesnym zabiegom obcinania naszego budżetu, co odbija się na ograniczeniu naszej terenowej działalności.

ODGŁOSY: Czy współcześnie, dewiza: „historia est magistra vitae" nie straciła na swej aktualności?

Dr Z. LIBISZOWSKA: Sądzę, że nie. Pod warunkiem jednak nie dosłownego rozumienia tego sformułowania. Grozi ono bowiem niebezpieczeństwem wąskiego pragmatyzmu, szukania w historii gotowych odpowiedzi i formułek, naginania jej do usług nie zawsze dobrze pojętej propagandy. Ciceronowskie „magistra vitae" rozumiem tak, jak to sformułował mój ulubiony historyk M. Bloch: „Z nieznajomości czasów minionych wypływa nieuchronnie niezrozumienie teraźniejszości". Jeszcze chętniej posłużę się pięknym lapidarnym stwierdzeniem świetnego historyka belgijskiego Henri Pirenne: „Jestem historykiem i dlatego kocham życie".

ODGŁOSY: Czy istnieją jakieś istotniejsze różnice między pracą historyka, badającego odległą epokę za pomocą źródeł, a historyka, którego zainteresowania skupiają się na czasach mu współczesnych?

Dr Z. LIBISZOWSKA: Intencję pańskiego pytania rozumiem w sensie kryteriów sprawdzalności, obiektywizmu, ustaleń historyka. Jest to zagadnienie szerokie i niezwykle trudne. Historycy traktują przedmiot swych badań — dzieje społeczeństw ludzkich, jako ciągły, zintegrowany proces dokonujący się na przestrzeni od wspólnoty pierwotnej po dzień dzisiejszy. Jednakże metody badawcze, aparat poznania, jest zróżnicowany w zależności od tego, jaka warstwa przeszłości poddana zostaje badaniu. Decydującą rolę odgrywa charakter materiału źródłowego. Wielką chronologicznie część dziejów społeczeństwa badają wyspecjalizowani archeologowie. Historyk w tradycyjnym rozumieniu to badacz epoki, która minęła i co najwyżej tylko pośrednio oddziałuje na bieżące życie. O epoce tej dowiadujemy się ze źródeł pisanych i materialnych, jakie pozostały po odeszłych pokoleniach. Czy można w ten sposób obrazować i osądzać czasy badaczowi współczesne? Moim zdaniem, nie. Historyk, zgłębiający otaczającą go rzeczywistość, nie jest w stanie dotrzeć do wszystkich niezbędnych źródeł. A poza tym, będąc zaangażowanym uczuciowo i intelektualnie w swoją epokę, czyż może wydać o niej bezstronny sąd? Co ma stanowić miarę obiektywizmu jego konstatacji? Wydaje mi się, że znaczne obszary najświeższej przeszłości można z powodzeniem pozostawić do penetracji publicystom, socjologom, ekonomistom, politykom, bez szkody i uszczerbku dla historii. Historyk wkroczy natomiast wtedy, gdy dzień dzisiejszy stanie się zamkniętym już rozdziałem procesu dziejowego.

ODGŁOSY: Co Panią jako historyka szczególnie irytuje?

Dr Z. LIBISZOWSKA: To dość skomplikowane i nieco osobiste pytanie. Wymaga dłuższego zastanowienia. Niestety, nie należę do „gniewnych ludzi" i powiem raczej o moich niepokojach, z których tylko dwoma podzielę się z Panem. Jeden to zjawisko dehumanizacji historii w nauczaniu i w nauce. Liczymy warsztaty tkackie, wprowadzamy metody statystyczne, śledzimy procesy i abstrakcyjne prawa, mówimy o anonimowych masach, lecz ginie nam z oczu właściwy podmiot historii — człowiek. Zapominamy też, że Clio nasza patronka była muzą, mieszkanką Parnasu i towarzyszką Apolla — boga słońca, poezji i sztuki. Drugi niepokój to wąsko specjalistyczny warsztat badawczy historyka, co pozbawia go jakże często zdolności syntetycznego spojrzenia. Przykład: mamy dziś wielu historyków zajmujących się dziejami naszego miasta, ale opracowanie syntetyczne o Łodzi i jej historycznej karierze — piszą dziennikarze, literaci. Nie im, ale sobie możemy mieć za złe, jeżeli te opracowania grzeszą pewną dowolnością historyczną.

ROZMAWIAŁ: ZBIGNIEW FALIŃSKI

Po Zjeździe Literatów

(Rozmowa z Marianem Piechalem)

ODGŁOSY: Pisma codzienne przeprowadziły z Panem jako prezesem łódzkiego oddziału ZLP wywiady przed Zjazdem Literatów Polskich w Krakowie. Redakcja „Odgłosów" chciałaby porozmawiać z Panem po Zjeździe. Jakie wrażenie wywiózł Pan z tego Zjazdu?

M. PIECHAL: Raczej optymistyczne. Nie tylko dlatego, że Zjazd krakowski załatwił pozytywnie kilka spraw w sensie praktycznym, ale przede wszystkim dlatego, że chyba po raz pierwszy w historii podobnych Zjazdów, znalazła godny i rozsądny wyraz pełnia kontrowersyjnych wypowiedzi ludzi pióra, wyrażających najwyższą troskę zarówno o stan współczesnej literatury i jej społeczno-politycznych uwarunkowań, jak i o dalszy los kultury ludzkiej, zagrożonej aktualnie ze strony sił antyhumanistycznych. Po raz pierwszy chyba, powtarzam, na Zjeździe krakowskim pisarze przedstawili się w tak wyrazisty sposób nie tylko jako ludzie pewnej bardzo ważnej w narodzie profesji, ale przede wszystkim jako obywatele kraju zatroskani o dalszy jego byt i rozwój. Można powiedzieć, że świadomość społeczna pisarzy nigdy jeszcze na żadnym ze Zjazdów nie zagrała tak szerokim i barwnym wachlarzem różnych i nieraz przeciwstawnych postaw jak właśnie w Krakowie.

A jednak nie doszło do żadnych zasadniczych nieporozumień, gdyż wszystkie kwestie, nawet te pozornie najbardziej kontrowersyjne, ostatecznie były do pogodzenia i dały się sprowadzić do wspólnego wniosku. Ilustracją tego może być choćby wysuwany z obu dyskutujących ze sobą stron postulat ogólnopolskiego pisma literackiego, jako centralnego organu pisarzy. Palącą potrzebę takiego pisma odczuwają wszyscy zainteresowani współczesną literaturą, a więc — rzecz jasna — jej twórcy, czyli pisarze, ale także i może najbardziej jej konsumenci, czyli czytelnicy, których z roku na rok wzrasta nie tylko liczba, ale i poziom intelektualny, a więc wymagania w zakresie coraz szerszej problematyki dzieł i ich jakości artystycznej.

ODGŁOSY: Jakie problemy poruszane na Zjeździe uważa Pan za najważniejsze?

M. PIECHAL: Ujmując syntetycznie dość splątany gąszcz spraw poruszonych na Zjeździe, należałoby odpowiedzieć, że dwie zasadnicze grupy problemów: ideologicznych i statutowych. Jedne z tych problemów warunkowały drugie, znajdując w nowych propozycjach i modyfikacjach ich dotyczących swoje odbicie. Wszyscy mówcy stwierdzili, że stoją na gruncie, jeśli już nie poglądu, to rzeczywistości socjalistycznej, której rację aktualną i stan faktyczny uznają, choćby byli wyznawcami pluralizmu światopoglądowego, jak to się wyraziło w przemówieniach np. pisarzy katolickich. Ale zarówno oni jak znakomita większość pisarzy o zdecydowanym światopoglądzie socjalistycznym różnili się w indywidualnym rozumieniu swych postaw, a zwłaszcza swych praktycznych zadań pisarskich, wynikających z określonego ideologicznie miejsca, zajmowanego przez nich w społeczeństwie i świecie współczesnym, rozdartym antagonistycznie i wstrząsanym groźnie przez sprzeczne interesy z natury swojej bardzo złożone i skomplikowane. Niepokój o te zasadnicze sprawy, o ich najbardziej prawidłowe interpretacje, przewijał się we wszystkich przemówieniach pisarzy, którzy nieraz zajmowali skrajnie przeciwne stanowiska w ramach tego samego wspólnego im światopoglądu, jak np. w przemówieniu Leszka Kołakowskiego i Jerzego Putramenta, Włodzimierza Sokorskiego i Tadeusza Hołuja, Tadeusza Drewnowskiego i Władysława Machejka, a nawet Wojciecha Żukrowskiego i Jerzego Zawieyskiego.

Wnioski dotyczące zmian statutowych były, jak powiedziałem wynikiem tych dość różnych postaw zasadniczych, jednak w rezultacie po dość ożywionej, choć bynajmniej nie burzliwej dyskusji w trzecim dniu Zjazdu zwyciężyła, że tak powiem, linia rozsądnego kompromisu, w dobrym zresztą tego słowa znaczeniu. W nowo uchwalonym Statucie ZLP znalazły wyraz wszystkie od lat drążące środowisko literackie tendencje ujednolicenia i usprawnienia pracy zarówno czysto warsztatowej, jak społecznej i organizacyjnej pisarzy.

ODGŁOSY: Na Zjeździe mówiono wiele o sytuacji poza warszawskich środowisk literackich. Jak Pan w świetle tego ocenia ośrodek łódzki?

M. PIECHAL: Łódzki ośrodek literacki na tle przemówień i sprawozdań zjazdowych wyszedł bardzo korzystnie. W swym zasadniczym referacie sprawozdawczym prezes Zarządu Głównego, Jarosław Iwaszkiewicz, zaliczył zespół pisarzy łódzkich do najbardziej ruchliwych i aktywnych środowisk literackich w kraju. Podkreślił wobec tego pilną potrzebę przemianowania „Osnowy" w stały periodyk naszego środowiska. Dowodem szczególnego uznania dla łódzkiego Oddziału ZLP był fakt, że prawie wszyscy nasi delegaci brali czynny udział w rozmaitych pracach i komisjach zjazdowych, a dwóch delegatów (jeden — prezes naszego Oddziału z urzędu, a drugi z wyboru — Jan Koprowski) weszło do nowo obranego Zarządu Głównego, jako pełnoprawni jego członkowie, co jest bez precedensu, bo zdarzyło się dopiero po raz pierwszy w historii naszego Oddziału. Oczywiście, delegaci nasi mogli osiągnąć ten sukces jedynie dzięki temu, że większość kolegów w naszym Oddziale w ostatnich trzech latach zaktywizowała się pisarsko w stopniu dość wydatnym, ich książki coraz częściej zapełniają witryny księgarskie, ich nazwiska tytuły ich dzieł coraz częściej pojawiają się w recenzjach i omówieniach krytycznych, ich utwory widnieją coraz częściej, nieraz na naczelnych miejscach w czasopismach literackich i na łamach pism codziennych w całej Polsce. Wydawnictwo Łódzkie w tym uaktywnieniu twórczym naszego środowiska ma sporą dozę swojej zasługi, podobnie jak i „Odgłosy", a także i rozgłośnia łódzka Polskiego Radia chociaż stwierdzić wypada, że są to już zbyt wąskie ramy wobec coraz wzrastającej prężności i ekspansywności łódzkich pisarzy, coraz więcej bowiem spośród nich zarówno starszych, jak i tych wzrastających szybko w liczbę i talenty najmłodszych, drukuje i ogłasza swe utwory w wydawnictwach i czasopismach pozałódzkich. Istnieje pilna konieczność poszerzenia zarówno profilu wydawniczego jak i planowanych możliwości Wydawnictwa Łódzkiego oraz przemiany „Odgłosów" w tygodnik bardziej literacki o zasięgu ogólnokrajowym.

ODGŁOSY: I jeszcze jedno pytanie: jakie wnioski należy wyciągnąć ze Zjazdu?

M. PIECHAL: Cóż, wniosek może być tylko jeden: żaden poprawiony czy udoskonalony statut nie wpłynie automatycznie na poprawę i udoskonalenie dzieła pisarskiego, jeśli sam pisarz nie poprawi i nie udoskonali warunków przede wszystkim wewnętrznych swojej pracy. Zaliczam do nich nade wszystko jasne rozpoznanie się pisarza w świecie, w którym żyje, i w możliwościach, którymi obdarzyła go natura i społeczeństwo. Dokonanie właściwego obrachunku z samym sobą pod tym względem powinno doprowadzić każdego do przeświadczenia o potrzebie maksymalnej odpowiedzialności i wysiłku w tej najtrudniejszej i najzaszczytniejszej dziedzinie ludzkiego trudu, jakim jest twórczość pisarska. Wynikało to zbieżnie i jednoznacznie z najbardziej nawet kontrowersyjnych przemówień zjazdowych. I w tym się zawierał ich najogólniejszy i najbardziej konkretny, bo obowiązujący każdego z piszących bez względu na jego poglądy, sens. W imię czego, o czym i jak piszesz, tak cię widzą i oceniają w społeczeństwie, w narodzie i na świecie — oto co zdało się wynikać z trzydniowej ożywionej dyskusji pisarzy na XV Zjeździe delegatów ZLP w Krakowie.

ROZMAWIAŁ: J. K.

Półka z książkami

„CZAS ODWRÓCONY"

„Wiosną ub. roku, przedstawiciel warszawskiej telewizji, odkrywszy we mnie (literackie) skłonności do makabreski i gatunku fikcji z elementami grozy, spróbował mnie namówić do napisania szkicu, który by mógł posłużyć następnie do zrobienia (dla potrzeb małego ekranu) scenariusza. Chodziło naturalnie o utwór, który by się nadawał do cyklu „teatru grozy". Zgodziłem się pomyśleć".

W wyniku tego myślenia autora powstał właśnie „Czas odwrócony", książka którą autor sam przedstawia jako nieokreślony bliżej gatunek literacki. Fabuła toczy się przez cały czas wokół jednego faktu — adresat otrzymał list, który przyszedł prawie z zaświatów, bo wszystkie osoby z nim związane nie żyją już od 20 lat. Razem z odbiorcą listu wracamy do czasów okupacji, do konspiracyjnej działalności młodych warszawiaków. Tylko, że to nie są normalne wspomnienia. Adresat dopiero teraz przeżywa tamte dni, teraz znów wykonuje swoje zadanie, które wykonano przed 20 laty, spotyka się z osobami biorącymi udział w tej samej akcji. Mieszają się czasy, zmieniają się obrazy, fantastyka miesza się z rzeczywistością. Bohater widzi i przeżywa sytuacje dla innych niedostępne i niedostrzegalne. Wreszcie przychodzi zaskakujące, tajemnicze zakończenie.

Szczególnie interesująco zostały oddane wewnętrzne stany bohatera, jego wahania i lęki, zwyczajny ludzki strach i paraliżujące ruchy przerażenia, końcowa determinacja, z jaką bohater szuka dawnych śladów. Odojewski napisał książkę, którą czyta się jednym tchem. Wydaje mi się, że byłby z tego świetny spektakl telewizyjny, aktor grający rolę głównego bohatera miałby duże pole do popisu. Może jednak telewizja zdecyduje się. Chyba warto.

B. M.

Włodzimierz Odojewski — „Czas odwrócony", Czytelnik, W-wa, 1965, str. 121, cena 10 zł.

„KARZEŁ"

Nazwisko szwedzkiego pisarza, laureata Nagrody Nobla, Pära Lagerkvista nie jest obce polskiemu czytelnikowi. Ten współczesny pisarz, zajmujący się w swojej twórczości sprawami metafizycznymi i dociekaniem sensu życia (jego pisarstwo jest trudne, lecz ciekawe), zaprezentował naszym czytelnikom „Gościa w rzeczywistości" wydanego w serii „Jednorożca". Obecnie wydana powieść „Karzeł" została napisana w roku 1944, kiedy w Europie panował terror, przemoc i śmierć. Autor podejmuje w niej problematykę moralną, gdyż doskonale zdaje sobie sprawę z faktu zagrożenia ludzkości i unicestwienia jej kultury. Karzeł jest symbolem. To symbol zła, które otacza człowieka, z którym człowiek albo walczy, albo poddaje mu się całkowicie. „Każdy człowiek ma swego karła" — mówi Lagerkvist, i czytelnik przyznaje mu rację. To od nas zależy jaki jest ten karzeł.

Powieść została napisana w formie pamiętnika książęcego karła. Jest to specyficzne spojrzenie na świat i zdarzenia, poprzez pryzmat nienawiści i pogardy. Tłumaczenia dokonał Zygmunt Lanowski i należy przyznać — zrobił to dobrze.

E. I.

Pär Lagerkvist: Karzeł. Wyd. PIW. 1965 r. Stron 200. Cena 12 zł.

„ZAGAJNIK"

Tym tytułem opatrzono zbiór 15 reportaży, wybranych spośród nadesłanych przez różnych znanych i mniej znanych autorów prac, na zamknięty konkurs zorganizowany przez ZMW. Wizytówka organizatora konkursu określa od razu temat, jeżeli ZMW to wiadomo, że mowa będzie o wsi, a przede wszystkim o wiejskiej młodzieży, jej kłopotach i twórczej działalności. I tak jest rzeczywiście. Przedstawione w tomie reportaże są tak dobrane, że dotykają różnych przejawów życia na wsi. Wiadomo, że zwalczanie przeszłości; wcielanie w życie nowych ideałów, wprowadzanie zmian i ulepszeń na każdym polu; często natrafiało i natrafia jeszcze dzisiaj, szczególnie właśnie na wsi, na wiele oporów i niechęci. I potrzeba ludzi mocno przekonanych w swoich zapatrywaniach i dążeniach, ludzi cierpliwych i wytrwałych, aby te zmiany i ulepszenia wprowadzić. Właśnie takim działaczom, ot jak chociażby bohaterom „Czasu pegeeru" Jana Bijaka, poświęcona jest znaczna część reportaży. Ludziom, którzy walczą o zmiany nie przy pomocy wielkich słów i gestów, ludziom, którzy zwyczajnie pracują. Organizują na wsiach kluby, zakładają teatry amatorskie, wszystko bez patosu i niepotrzebnej reklamy. Właśnie reportaże o konkretnych ludziach i rzetelnej pracy są szczególnie interesujące. Mają ogromną przewagę nad tymi, których tematem są np.: ogólne zmiany wsi, czy małego miasteczka, właśnie dlatego, że poświęcone są człowiekowi. Na specjalną uwagę zasługują reportaże „Sąd" i „Licytacja postaw", których tematem jest szkolnictwo wiejskie. Oba świadczą o tym, że nauczyciel wiejski to w dalszym ciągu instytucja, którą się obserwuje i podpatruje, której każdy krok zawzięcie się komentuje. Niestety, często z krzywdą dla nauczyciela. Do wymienionych tytułów dorzuciłabym jeszcze jeden — „Egzamin z katechizmu", Reportaż, który opowiada o młodzieży ZMW, ale o młodzieży, której działalność nie była z gatunku tych wzorowych. Ograniczyli się po prostu do rozrywki i drętwej roboty na pokaz. I to właśnie reporter — Ryszard Wójcik uchwycił i pokazał w swojej pracy. „Zagajnik" to kawał wiejskiego, powojennego życia, odsłonięty dla czytelnika przez autorów reportaży.

B. M.

„Zagajnik" — zbiorowe. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1965, str. 222, cena zł 12.

Książki nadesłane

Jan Łysakowski — DOWÓDCA KOMPANII, — MON, cena zł 14.

FORMUŁA NIEŚMIERTELNOŚCI — „Iskry", cena zł 10.

Władysław Machejek — MOJE DWUDZIESTOLECIE — WL, cena zł 35.

Jouse d'Arbaud — STWÓR ZNAD ZALEWU — WL, cena zł 15.

LESZEK ST. RUDNICKI

Prawdziwi bohaterowie kolorowych baśni

Foto: A. Idziński

Pełna skupienia cisza przerywana wybuchami śmiechu lub, zgodnie z rozwojem akcji, okrzykami przestrachu. Teatr i jego widzowie. Cóż to za teatr — spytacie — o tak wspaniałej harmonii? To Państwowy Teatr Lalek **PINOKIO** i jego mali widzowie — dzieci.

Niedawno „Pinokio" obchodził swoje dwudzieste urodziny. Wiek jak na instytucję, poważny. Jednak jubileusz ten kwituje nie tylko fakt 20 lat istnienia, lecz **także 70 premier i ponad 2 500 000 widzów.** Za tym wszystkim zaś kryją się nieznani swoim widzom, prawdziwi bohaterowie baśni — aktorzy, „lalkarze", jak sami się nazywają. Ich to jest święto i należy się ich ciężkiej pracy z tej okazji nieco ciepłej, życzliwej uwagi.

Lalka, zwykła kukła, jawajka, czy marionetka, to materiał aktorsko niezwykle oporny, wymagający długiego ćwiczenia, nim wreszcie można będzie przy jego pomocy oddać należycie wszystkie elementy spektaklu. Pracuje się cały czas z podniesionymi rękoma, a parawan, naturalna przeszkoda akustyczna, zmusza do mówienia z wysoko podniesioną głową. Pewnej wprawy wymaga też równoczesne wypowiadanie tekstu i operowanie lalką.

Przychodzący do teatru dramatycznego młody aktor ma już za sobą studia, ma w jakiś sposób opanowany warsztat. Lalkarze swojej szkoły nie mają. Wszystkie umiejętności trzeba zdobywać już w teatrze, na gorąco. Dopiero po trzech latach zdaje się egzamin eksternistyczny przed komisją państwową. Ciężko! Jednak zespół Pinokia nie zwykł narzekać. Zgrali się razem doskonale. Trudno się dziwić, skoro przeszło połowa zespołu pracuje w teatrze ponad 10 lat. Są także, poza założycielką i dyrektorem p. Martą Janic, inni, Wanda Byrska, Maria Biernath, Danuta Biurkowska, Marian Radzikowski (kier. muz.), Zygmunt Janic (kier. techn.), którzy pamiętają doskonale pierwsze chwile i ciężkie warunki w jakich tworzono ten teatr.

Stosunkowo mało posiadamy literatury poświęconej lalkarstwu, a szkoda. Zasługuje na to bezwarunkowo. Teatr lalek przyzwyczaja dziecko do samodzielnego szukania kulturalnej rozrywki. Kształci jego wrażliwość estetyczną i inteligencję. Pinokio w tej dziedzinie zdał egzamin na piątkę z plusem. Dobór repertuaru i wysoka artystycznie jakość widowisk stawiają go w kraju na wysokiej pozycji. O roli jaką pełni w życiu codziennym miasta najlepiej zaświadczy fakt, podkreślany z dumą i ubolewaniem zarazem przez dyr. Janicową: już w listopadzie przekroczono roczny plan widzów. Ubolewaniem, gdyż, niestety, mimo posiadania dwóch doskonałych teatrów lalek, w naszym mieście wciąż jeszcze wysoki jest procent dzieci, które nie znają wcale teatru. Sporo w tym winy rodziców, nie doceniających jego roli wychowawczej, lub po prostu zbyt zapracowanych by znaleźć nieco czasu dla swojej pociechy. Teatr wspólnie z Kuratorium i ZHP stara się już od dawna o zmianę tej sytuacji. Na wyniki jednak wypadnie jeszcze trochę poczekać.

Aktywność Pinokia nie ogranicza się bynajmniej tylko do terenu miasta. Dzień po dniu wyrusza w teren zespół objazdowy, niosąc w najodleglejsze kąty województwa żywe słowo i „żywy obraz". Dzieci czekają na nie z utęsknieniem. Z zachwytem chłoną każde słowo padające zza parawanu, gorączkowo komentują każdy zakręt akcji. Entuzjazm ten, to najpiękniejsza zapłata dla aktorów, choć musieli na nią zapracować długimi godzinami w przeraźliwie gorącym, lub przeraźliwie zimnym (bo ogrzewanie lubi nawalać) samochodzie. Latem można jeszcze grać na powietrzu, ale zimą, jak teraz, niezbędna jest sala. Ta znów, albo mała i duszna, albo duża i lodowato zimna. Może się człowiekowi po takim spektaklu żyć odechcieć. Jednak znów ładują klamoty i jadą do następnej wsi, gdzie czeka lodowata sala i niecierpliwe dzieci. Jeszcze dochodzą próby nowych spektakli, nagłe zastępstwa, szkoda słów — twardzi są nad podziw.

Dobór repertuaru w teatrze lalkowym nie jest bynajmniej sprawą łatwą. Musi być dostosowany do poziomu dziecka i odznaczać się interesującą fabułą. Element ten jest dla widza niezwykle ważny. Dziecko jest bardzo surowym krytykiem. Nic zaspokoi się skleconą naprędce fabułą, trzeszczącą w szwach akcją. Reaguje żywiołowo na wszystkie potknięcia. Poza tym jeszcze, spektakl teatralny musi posiadać walory dydaktyczne, być nosicielem wartości estetycznych. Dlatego też wśród pozycji repertuarowych Pinokia znajdziemy i „Kubusia Puchatka" Milne'a, opowieść „O Janku, co psom szył buty", „Gulliwera", „Baśń o pięknej Parysadzie" Leśmiana i wiele innych. Niektóre postacie żyją w umysłach widzów bardzo długo. Teatr zawdzięcza przecież swe imię — Pinokio, przeprowadzonemu w roku 1950 plebiscytowi.

Jak już powiedziałem, fabuła jest dla młodego widza najważniejsza. Równie ważna jest jednak oprawa plastyczna widowiska. Dlatego też tak wiele uwagi poświęca się jej przy każdej nowej premierze. Wśród współpracujących z teatrem scenografów znajdziemy i Henri Poulaina, Wacława Kondka, Stanisława Fijałkowskiego i Jerzego Nowosielskiego. Równie doskonała jest strona muzyczna spektaklu. Dbają o nią na zmianę Tomasz Kisewetter, Krzysztof Penderecki, Piotr Hertel i wielu innych.

Oprócz stałych współpracowników, Pinokio ma także „swoich" autorów. Kilkanaście prapremier w ciągu dwudziestu lat, to wynik lepiej niż ładny. Piszą Maria Kann, M. Kossakowska i J. Galewicz, A. Świrszczyna... Gdybym naprawdę chciał wymienić wszystkich, którzy dokładają do trudu Pinokia swoją cegiełkę, nie starczyłoby chyba miejsca. A wszystkie te wysiłki mają początek w jednym wspólnym źródle. W niewyczerpanej miłości do dziecka, w trosce o jak najlepsze przygotowanie przyszłego dorosłego człowieka do późniejszego, odpowiedzialnego i prawdziwie ludzkiego życia.

Osobiście jakoś nie jestem zwolennikiem jubileuszy. Kojarzą mi się zawsze z widokiem steranego, zgrzybiałego jubilata. Ten jednak, obok odrobiny smutku, przypominając jak prędko upływa czas, dał mi także wiele radości. Pozwolił raz jeszcze wrócić do czasów, gdy jako kilkunastoletni brzdąc wędrowałem do Pinokia „na bajki". W Pinokiu czas się zatrzymał. Jest stale młody, powiedziałbym urzeka swoją młodością. Jedyne oznaki starzenia się zdradza tylko wysłużony autokar. Ostatecznie jednak, gdyby zliczyć przebyte przezeń kilometry, akurat wypadłaby emerytura. Nic to, będzie nowy. I dzieci z najdalszych kątów naszego i innych województw na pewno otrzymają należną im porcję radości.

KRONIKA Antytelewizyjna

NADTOŻ UCZENIE I ZAWILE!

Dziennikarz: — Panie prezesie, jak będzie wyglądać zaopatrzenie w mięso w okresie świątecznym, czyli w okresie wzmożonej konsumpcji?

Prezes: — Niedoinwestowanie na odcinku paszowym pociąga za sobą nierównomierności w rozwoju hodowli, ale korelacja podaży z zapotrzebowaniem stwarza coraz korzystniejszą koniunkturę i dlatego można liczyć na to, że wraz ze wzrostem jakościowym nastąpi wzrost ilościowy, jeżeli zaś weźmie się pod uwagę pule sektorów to wektory...

To rozmówka zmyślona, ale pod wpływem niektórych rozmów przeprowadzanych przez dziennikarzy TV z przedstawicielami rozmaitych dziedzin życia gospodarczego. Przypuszczam, że niektóre takie wypowiedzi, nawet nienagannie i z logiką formułowane, nie docierają do dwóch milionów właścicieli telewizorów. Myślę poza tym, że i w gronie specjalistów można posługiwać się językiem mniej zawiłym. Ostatecznie każda prawda jest czymś prostszym niż to komuś może się wydawać.

O, dziwo! Odrodził się w całym blasku język, z którego kpił jeszcze nieodżałowany Jerzy Paczkowski:

...W trosce o zniżkę depresji
Odnośny resort jest gotów
Poczynić kroki w kierunku
Uszlachetniania obrotu.

Wszelako niezbędną podażą
Harmonijnego popytu
Jest potanienie pieniądza
I upłynnienie kredytu...

Telewizja umożliwia demokratyzowanie myśli gospodarczej i należy z tej możliwości pełniej korzystać. Ostatnio niektórych rozmów, na pewno w gruncie rzeczy istotnych, sam słuchałem z roztargnieniem i zniechęceniem, choć na ogół cechuje mnie dobra wola i zdrowa postawa obywatelska. Uwagi te dotyczą przeważnie zapytywanych, czyli interwiewanych niż dziennikarzy.

Nadane przez Teatr Telewizji z Katowic „Kłamstwo" Andrzeja Wydrzyńskiego, niestety rozczarowało. Rzecz w zamierzeniu ambitna, poruszająca takie sprawy jak praktyczne konsekwencje kompromisu i bezkompromisowości, lekceważenie doli jednostki w wymiarach spraw o większej rzekomo doniosłości społecznej — wypadła dość sztucznie, nieprzekonywająco. Aforystycznym wypowiedziom bohaterów dramatu zabrakło podbudowy. Dramat został raczej zaplanowany niż rozegrany. Eksperyment, polegający jak gdyby na sprzężeniu zwrotnym, by uniknąć słowa symultanizm, na jednoczesnym pokazywaniu przeszłości i teraźniejszości był niewątpliwie telewizyjny, ale jego porażka leży w słabościach utworu.

Nic więc dziwnego, że i aktorsko „Kłamstwo" nie mogło wypaść zbyt dobrze. Irena czyli Bogumiła Murzyńska zademonstrowała podbijającą urodę i wdzięk. Dyrektor Garbek był dobry, ale to stary znajomy, postać znana nawet z okresu schematyzmu.

Pod nazwą „Przegląd zespołów i artystów estradowych", przypominającą spęd lub przegląd pojazdów mechanicznych, pokazano nam rzeczywiście pewną ilość zespołów i solistów Jak wynikało z konferansjerki, było to spotkanie impresariów z różnych krajów z naszymi artystami estradowymi, którym życzyć należy wielu kontraktów. Jedni podpiszą je zapewne z przedstawicielami estrad, drudzy z przedstawicielami dansingów i im podobnych lokali rozrywkowych. (W tym drugim wypadku nie zapisujmy tego na konto naszych artystycznych sukcesów za granicą, jak to nieraz bywa).

Najbardziej podobał mi się występ Anny German i Mieczysława Święcickiego. Ten

drugi wykonał m. in. piosenkę dziś zapomnianego a ongi i w Polsce popularnego Aleksandra Wertyńskiego, który zasłużenie należał do światowych gwiazdorów piosenki, a przecież trzeba pamiętać, iż bywał także kompozytorem i autorem tekstów...

Piętnasta premiera „Kabaretu Starszych Panów"! „Ostatni naiwni", w odróżnieniu od niektórych premier poprzednich, odznaczają się zwartą kompozycją, stanowią jakby parodię gorszych powieści kryminalnych, ale to oczywiście tylko dobry pretekst dla znakomitego humoru i zabawnych lub lirycznych piosenek, dla aktorskiej wirtuozerii.

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„AMERYKA, AMERYKA" Elii Kazana narobiła w świecie kinematografii wyjątkowo dużo szumu. Otrzymała Grand Prix i nagrodę FIPRESCI w San Sebastian (1963) oraz „Oscara" za najlepsze kierownictwo artystyczne za rok 1963. „Ameryka, Ameryka" jest epopeją społeczno-narodową. Akcja filmu rozgrywa się jednak nie na tytułowym kontynencie, a w Turcji, pod koniec ubiegłego stulecia. Skąd więc ów tytuł? — Bohater Kazana, Grek z pochodzenia, postanawia w obliczu narastających prześladowań i szerzącej się nędzy wyemigrować do Ameryki przeżywającej wówczas okres największej prosperity, będącej dla ludzi wielu krajów i różnych kontynentów „ziemią obiecaną". Ameryka jest wówczas krajem wielkich możliwości, symbolem wolności i dobrobytu. Na przykładzie losów młodego Greka Kazan ukazuje, jak formowały się w tamtych czasach rzesze emigrantów, jak powstawał i potężniał „mit Ameryki". Kazan, sam emigrant, nawiązuje do wspomnień rodzinnych. Film oparty jest na jego własnej książce pod identycznym tytułem.

Będąc świadomą sporów i dyskusji, jakie wywołał film, nie chciałabym narzucać swego zdania Czytelnikom, sugerować zbytnio przyszłych widzów. Tym bardziej, że sama wyszłam z kina z uczuciami mieszanymi. Pod względem obyczajowym, to faktycznie arcydzieło. Przebogate i fascynujące. Lecz z drugiej strony, kanwa fabularna (niebłaha w tym filmie, niebłaha) może zirytować swoim prymitywizmem. Film wspaniały pod względem artystycznym, formalnym, aktorskim rozczarowuje nie tyle tematem, co sposobem jego rozwinięcia. Przez cały czas „Ameryka, Ameryka" robi wrażenie „wykładu" dla ubogich duchem. Pociesza maluczkich i biednych, moralizuje i naucza innych Przybiera ton przypowieści, jest jak gdyby „religią" świata interesu. Chciałoby się użyć w odniesieniu do niej określenia z Majakowskiego, choć w innym już oczywiście znaczeniu, — tego o „kobyle historii".

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Wśród problemów, które we współczesnej myśli wysuwają się na plan pierwszy, znajduje się zagadnienie uporczywie podejmowane przez filozofię, nauki społeczne, sztukę. Jest to problem miejsca człowieka w świecie. Zagadnienie postawy moralnej człowieka, jego światopoglądu jest z pewnością jednym z najbardziej pasjonujących problemów, jakie dziś stawia życie przed ludźmi, sztuka przed twórcami. Na rafach, które stwarza ten temat, film rozbija się — niestety — nadar często. Na szczęście nie zawsze. W radzieckim filmie ostatnich lat znakomicie uporało się z nim dzieło „Dziewięć dni jednego roku". To piękny i mądry film, głęboko ludzki, o szerokim spojrzeniu. Nie bez przyczyny powracam myślą właśnie do niego. Na nasze ekrany wkracza bowiem „TESTAMENT UCZONEGO", niesłychanie bliski „Dziewięciu dniom jednego roku" ze względu na podejmowaną problematykę, a chwilami przypominający tamten film nawet przedstawianą akcją. Tu i tam mamy do czynienia z środowiskiem fizyków pracujących w olbrzymich, ultranowoczesnych instytutach. W jednym i drugim filmie główny bohater jest beznadziejnie chory, żyje ze świadomością nieuchronnie zbliżającej się śmierci i wie, że nastąpi ona już niedługo. Świadomość ta nie załamuje go jednak. Powoduje, że życie staje się bardziej intensywne, jak gdyby człowiek chciał czerpać z niego „na zapas". I dawniejszy, i ten dzisiejszy bohater poświęcają swe życie nauce — ten z „Dziewięciu dni" traci zdrowie w instytucie atomowym wskutek napromieniowania, a ów z „Testamentu uczonego" — nie chce przerwać pracy mimo rozwijającej się choroby (przez cały film nie dowiadujemy się jakiej). Wobec zbliżającej się śmierci obaj dokonują obrachunku swojego życia, zastanawiają się nad jego celem i sensem, nad postawą moralną własną i innych ludzi. Próbują określić, do czego zmierza i jaki powinien być współczesny świat, co oni sami potrafią mu dać z siebie. Obaj kochają życie, obu cechuje filozoficzny optymizm. Zarówno w „Dziewięciu dniach" jak i w „Testamencie uczonego" pojawia się na drugim planie problem miłości komplikującej i tak już niełatwe życie bohaterów. Mimo tak wielu pokrewieństw filmy te są jednak sobie zdecydowanie obce pod wieloma względami. Decyduje o tym kształt artystyczny, który w skali wartości umiejscawia oba dzieła bardzo daleko od siebie. „Dziewięć dni jednego roku" to film wybitny, piękny, głęboki. „Testament uczonego" — nieudany, irytujący. Jego twórca Georgij Natanson nadał mu formę patetyczną nie obliczywszy, że przecież czyny bohatera, jego postawa filozoficzna, moralna, są już wystarczająco patetyczne same w sobie. Dlatego powstał efekt niezamierzony — film stał się psychologicznie nieprawdziwy, schematyczny, nadęty w mentorski sposób, sztuczny.

P.S.

Równie złego dubbingu nie słyszałam już dawno. Dlaczego toleruje się u nas tak nędzną robotę?

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

W 75-LECIE URODZIN REŻYSERA

■ Sławny reżyser Fritz Lang urodził się w dniu 5 grudnia 1890 roku jako syn wiedeńskiego architekta. Gdy ma lat trzydzieści, zostaje obywatelem niemieckim, kiedy kończy pięćdziesiąt, otrzymuje obywatelstwo amerykańskie.

W ciągu 45 lat swej pracy reżyserskiej two-

rzy 43 filmy. Cieszący się uznaniem w Ameryce i Europie otrzymuje najwyższe odznaczenie francuskie za zasługi w dziedzinie rozwoju sztuki filmowej. We Francji młodzi reżyserzy jak Godard, Franju, Rohmer, Rivette, Chabrol studiują jego dzieła i uczą się na nich sztuki filmowej.

Jego film o niemieckich faszystach pt. „Testament doktora Mabuse" taki budzi gniew przywódców Trzeciej Rzeszy, że film zostaje zdjęty z ekranów, a jego twórca Lang wypędzony z Niemiec. Wyjeżdża najpierw do Francji, gdzie nakręca film-bajkę pt. „Liliom", a potem na długo opuszcza Europę.

Do Niemiec wraca, aby kręcić film, w roku 1958, a więc po 25 latach. Wspaniały okres rozkwitu swego talentu ma Fritz Lang za sobą. Rozgłos przyniosły mu już dawno takie filmy jak „Nibelungi" (1923), „Metropolis" (1926), „M" (1931), a szczególnie „Znużona śmierć". Obecnie Eckelkamp (ten który zakupił u nas niedawno „Popioły" i „Faraona") wygrzebuje z archiwów filmowych „M" i „Znużoną śmierć" dla nowego opracowania.

Amerykańska kariera Langa zaczęła się filmem „Fury" (Szał). Potem tworzy liczne filmy, między innymi: „Hangmen Also Die" (Także kaci muszą umrzeć), oparty na przemyśleniach Bertolta Brechta. Tematem filmu jest śmierć w Pradze, w dniu 27 maja 1942, pomocnika i zaufanego człowieka Himmlera, Heydricha. Do innych wybitnych filmów należą: „Woman in the Window", „The Blue Gardenia" i „You Only Live Once".

Fritz Lang w młodości chciał zostać malarzem. W latach 1919–1921 zwiedził niemal cały świat interesując się sztuką wielu narodów. Wpływy tych zamiłowań widzimy w jego filmach.

Lang nie jest zachwycony okresem swej pracy w Niemczech zachodnich i kiedy podczas jednego z wywiadów spytano go o jego doświadczenia z lat 1958–60 odpowiedział, że nie będzie już z pewnością kręcił tam więcej filmów.

Obecnie pracuje nad nowym filmem we Francji. Główną rolę ma grać w nim Jeanne Moreau.

POWIEŚĆ O JANUSZU KORCZAKU W ZSRR

■ W nr 49 „Literaturnaja Rossija" znajdujemy interesujący fragment powieści Pereca Markisza o Januszu Korczaku. Powieść, jak i drukowany fragment, noszą tytuł: „Stary nauczyciel z Domu Sierot".

Perec Markisz jest poetą i prozaikiem, cenionym zarówno w ZSRR, jak i za granicą. Książka Pereca o Januszu Korczaku, zamordowanym przez Niemców w sierpniu 1942 roku wraz z żydowskimi dziećmi, których nie chciał do końca opuścić, ukaże się w języku żydowskim, w wydawnictwie „Radziecki pisarz".

NAGRODA KOBIET DLA ROBERTA PINGET

■ Francuską nagrodę Femina otrzymał powieściopisarz Robert Pinget za książkę pt. „Quelquun" (Ktoś). Jury składa się z dwunastu kobiet i zazwyczaj faworyzuje kobiety. Tym jednak razem zwyciężył mężczyzna.

FILM O KAROLU MARKSIE

■ „Jeden rok — jedno życie" — taki tytuł ma mieć nowy radziecki film o Karolu Marksie. Reżyseruje G. Roszal według scenariusza H. Serebriakowej. Muzykę do filmu skomponował Dymitr Szostakowicz. „W filmie, od jego początku — powiedział znany kompozytor — muzyka ma istotną rolę do spełnienia. Troska kolektywu kręcącego film o Karolu Marksie, przejawia się nie tylko przez podjęcie tak odpowiedzialnego zadania, ale i przez wprowadzenie do realizacji nowych, twórczych problemów. I tak np. w pewnej partii filmu nieprzerwanie przez siedem do ośmiu minut głównym motywem jest sama muzyka, której w tym filmie przypada ważna i pełna treści rola".

NIE BĘDZIE KRADZIEŻY KSIĄŻEK

■ Uczony amerykański Mitchel Triklis wynalazł aparat, nazwany przez niego Sentronic, dla wykrywania kradzieży książek. Każda książka ma ukrytą w oprawie, maleńką namagnesowaną płytkę metalową. Jeśli klient kupuje książkę, sprzedawca przesuwa po niej specjalnym aparacikiem, który rozmagnesowuje płytkę. Gdy jednak ktoś ukradkiem schowa książkę do kieszeni czy teczki, i chce opuścić księgarnię, zostaje natychmiast przyłapany, ponieważ zainstalowany w drzwiach system alarmowy uruchamia dźwiękowy sygnał.

FANTASTYCZNA PODRÓŻ

■ W Hollywood nakręcany jest film naukowo-fantastyczny pt. „Fantastyczna podróż" według scenariusza L. Bliksbi i O. Klementa. Treść filmu jest rzeczywiście niezwykła. Oto pewien uczony wynalazca odkrywa sposób zmniejszania ludzi i przedmiotów do mikroskopijnych rozmiarów. Niestety, uczony w jakiś czas potem ulega nieszczęśliwemu wypadkowi i dla uratowania mu życia trzeba natychmiast operować mózg. Dla przeprowadzenia skomplikowanej i precyzyjnej operacji w jego ciało zostaje wstrzyknięta cała ekspedycja, pomniejszona do mikroskopijnych rozmiarów. Członkowie tej ekspedycji to lekarze i pielęgniarki, którzy zamknięci w maleńkiej jak pyłek łodzi podwodnej, płyną w arteriach pacjenta, i wreszcie docierają do mózgu i usuwają znajdujący się tam mały skrzep krwi. Uczony jest uratowany.

Ten fantastyczny film ma charakter również przygodowy. Pomniejszona łódź podwodna krążąc po naczyniach krwionośnych musi nieraz przebywać „wodospady" krwi, wpływa do gigantycznego serca, którego bicie huczy dla nich rytmicznie jak grzmoty. Autorzy scenariusza zadbali ponadto o wątek kryminalny. Wśród mikroskopijnej ekipy znalazł się wróg uczonego - wynalazcy, który chce przeszkodzić w uratowaniu pacjenta.

Dekoracje do filmu zostały zbudowane pod kierunkiem Salvadora Dali. „Chciałem wywołać wrażenie — mówi on — że mikroskopijne istoty wędrują jakby wśród straszliwej dżungli. Widz będzie chwilami odczuwał strach, przerażenie, będzie wstrząśnięty aż do szpiku kości".

CZTERY I PÓŁ MILIONA MAREK ZA POLSKIE FILMY

■ Cztery i pół miliona marek otrzymał „Film Polski" od Hansa Eckelkampa za sprzedaż prawa do eksploatacji w krajach zachodnich dwóch naszych filmów, „Popiołów" i „Faraona".

„Popioły" mają być w dniu 1 marca 1966 roku wyświetlane równocześnie w Monachium, Hamburgu, Frankfurcie i Berlinie. Film został skrócony przez Wajdę i będzie trwał nie cztery godziny, ale jedynie dwie godziny i czterdzieści minut.

Eckelkamp spodziewa się, że obydwa monumentalne polskie filmy będą cieszyły się znacznym powodzeniem na filmowym rynku światowym.

CHAGALL W IZRAELU

■ M. Chagall przebywa w Izraelu, przygotowując dekoracje nowego budynku parlamentu w Jerozolimie. Po raz pierwszy Chagall prowadzi prace mozaikowe.

ROZMYŚLANIA

■ „Przebaczyć i zapomnieć może tylko matka. Żona może przebaczyć, ale nie zapomnieć. Siostra może zapomnieć, ale nie przebaczyć. Córka nie zapomni i nie przebaczy".

„Nudzi się tylko ten, kto sam ze sobą nie ma o czym mówić".

„A to paradoks! W drodze do komunizmu likwidujemy przede wszystkim wspólne kuchnie".

„Między tym kto nic czego się nie boi, a tym, który boi się wszystkiego — niewielka różnica. Obydwaj odbiegają od normy".

Powyższe wyjęliśmy z książki Iriny Wilde pt. „Ludskoje tiepło". Autorka jest znaną ukraińską pisarką mieszkającą we Lwowie. W ciągu przeszło trzydziestoletniej pracy pisarskiej wydała drukiem wiele powieści i opowiadań. Ostatnia jej powieść pt. „Siostry Ryczyńskie" otrzymała nagrodę im. Szewczenki.

WYSTAWA SZTUKI INDONEZYJSKIEJ W BELGRADZIE

■ W ciągu całego lata mieszkańcy Belgradu z zaciekawieniem oglądali wystawę ludowej sztuki indonezyjskiej.

Eksponaty do niej zebrał Ales Bebler, który wiele lat spędził w Indonezji jako ambasador jugosłowiański. Wraz z żoną zwiedził on większość wysp Indonezji, poznając kraj, mieszkańców i zachwycając się tamtejszą sztuką ludową. Państwo Beblerowie powrócili do Jugosławii z ogromną kolekcją dzieł i chcąc zapoznać z nią rodaków urządzili w Muzeum Sztuki Stosowanej pokaz tych eksponatów. Na wystawie znalazły się przepiękne tkaniny indonezyjskie, prawdziwe arcydzieła sztuki tkackiej. Odrębny dział stanowiły rozmaite eksponaty teatralne i to z różnych rodzajów teatru indonezyjskiego, a więc z teatru cieni, marionetek, tańczących masek itp.

OBRAZ VAN GOGHA NA LICYTACJI

■ Jeden z obrazów Van Gogha wystawiony na licytacji w Londynie został sprzedany za 40.000 funtów. Krajobraz Renoira osiągnął cenę 24.000 funtów.

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

„Wiek i sex-appeal mogą iść w parze". Dwie barmanki w wieku 32 i 35 lat zostały zwolnione z pracy z powodu braku... nie, nie pokrycia pieniężnego za sprzedane towary, czyli manka, lecz braku sex-appealu. Roszczenia barmanek nie zostały uznane przez sąd Seatle (USA), bowiem do wykonywania każdego zawodu, prócz kwalifikacji, wymagane są pewne cechy osobiste, a wiek nie usprawiedliwia ich braku. Jako przykład podano Marlenę Dietrich. Business is business; niemniej jednak u nas „interes" służy człowiekowi, a nie odwrotnie, czego wielu pracowników wielu instytucji jeszcze nie zrozumiało. Skutki takiej postawy, nawet w instytucjach o charakterze kulturalnym, są „apriori" antykulturalne. Przecież „sposób bycia" w stosunkach między ludźmi to sprawa kultury. Często pracownik, posiadający „odpowiednie cechy osobiste" ulega nawykowi i nastrojowi wielkorządności w instytucji, której charakter jest w zasadzie służebny; a cóż dopiero mówić o nie posiadających „wymaganych cech"...

Urząd Stanu Cywilnego śmiało można nazwać instytucją kulturalną; związek dwojga dusz, który ma się przerodzić w związek dwojga ciał lub odwrotnie, wymaga wyjątkowo miłej atmosfery i delikatnych a podniosłych celebracji, a więc niemalże artystycznego podejścia do zagadnienia. Niektórzy „ministranci w świątyni", gdzie udziela się „błogosławieństwa" cywilnego przestępującym próg życia (w symbiozie?) pierwszy, drugi, trzeci a nawet raz czwarty, przedkładają ponad atmosferę radości zmieszanej z podniosłością ponure załączniki, zaświadczenia itp. mącąc natarczywie urok tej ulotnej chwili brakiem swych „pewnych cech osobistych".

Business is business. A przecież jeszcze nie o sex-appeal tu chodzi. Na początek kultura.

WTOREK

Dzieje teatru w Łodzi. Wystawa książki MBP im. Waryńskiego. Znów mamy możność prześledzenia historii naszej sceny. Ze znawstwem i umiłowaniem zakomponowany układ: książki, dokumenty, fotografie obrazują początek teatru łódzkiego, od trup wędrownych do „Teatru Wojska Polskiego", pierwszego powojennego teatru w Polsce, który znad Oki przywiózł do Łodzi jej ówczesny dyrektor, Władysław Krasnowiecki; gabloty Leona Schillera, następcy Krasnowieckiego w „Teatrze Wojska Polskiego"; gabloty Józefa Pilarskiego; gabloty „Teatru Powszechnego", „Teatru Nowego"; gablota wybitnych aktorów, którzy występowali na scenach łódzkich i gablota z prywatnych zbiorów mgr Romana Kaczmarka, dyrektora MBP im. Waryńskiego w Łodzi.

Łatwo się domyślić czyjej szlachetnej pasji należy zawdzięczać zorganizowanie tej ciekawej i pouczającej wystawy.

ŚRODA

Po tak ponurych rozmyślaniach, promyk słońca: oto właściwy człowiek, na właściwym miejscu. Jan Koprowski został wybrany członkiem Prezydium Zarządu Głównego ZLP. W wyborach Zjazdu Krakowskiego znany pisarz łódzki uzyskuje, mówiąc językiem sportowym, doskonałe ósme miejsce, następnie wchodzi w skład ukonstytuowanego w Warszawie Prezydium. Dwa największe po W-wie oddziały ZLP krakowski i łódzki mają więc swoich przedstawicieli we władzach ZLP.

Należy życzyć kol. Koprowskiemu owocnej pracy i dalszych sukcesów, które w dużej mierze są efektem jego taktu, obiektywizmu, koleżeńskości oraz wrodzonej skromności.

CZWARTEK

„Jak cię widzą, tak cię piszą"... A jak cię nie widzą? Jest rzeczą rozsądnej i uczciwej działalności krytyczno-wybiórczej eksponowanie wartościowych i oryginalnych osiągnięć artystycznych. Jest rzeczą rozsądnej polityki kulturalnej popieranie i „pokazywanie" tego, co może podnieść rangę kulturalną miasta. Oczywiste, niemniej jednak jeszcze nie truistyczne.

Toteż zrozumiałą błogością napawa sukces Teatru Nowego na „Warszawskim Spotkaniu Teatralnym", „Życie Galileusza" w interpretacji artystów łódzkich (w roli tytułowej Janusz Kłosiński, scenografia Henri Poulain), w reżyserii Tadeusza Minca, spotkało się z gorącym przyjęciem publiczności oraz wysoką oceną krytyki warszawskiej.

PIĄTEK

Otwarcia wystawy Plakatu Francuskiego dokonano 11. XII. br. o godz. 18-tej w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi.

Wystawa otwarta, można zwiedzać, można oglądać, można podziwiać dowcip, lekkość, trafność, lapidarność i funkcjonalność reklamową plakatu francuskiego. Otóż mamy tę wystawę (projekt ekspozycji H. Płóciennik) w Łodzi i cieszymy się, w ogóle prawie cały tydzień — same uciechy.

Jeszcze a propos uciech: gospodarze wystawy nie zapomnieli o katalizatorze wernisaży: dobre wino pite pod prekursora nowoczesnego plakatu Toulouse-Lautrec'a — to mocne uderzenie artystyczne.

SOBOTA

Przy kawie myśl rodzi się żwawiej. A nawet sama myśl o niej wzmaga ruchy porodowe. Nie rzucajcie kamieniem w kawę! Cały naród pije. Zauważyłem. Doc. dr Jerzy Jaroń, kierownik Zakładu Cybernetyki w Łodzi — z punktu zadaję —

pytanie: czy poczucie humoru w cybernetyce jest równie przydatne jak w sztuce?

Odpowiedź: chyba bardziej, gdyż brak poczucia humoru w cybernetyce paraliżuje przekazywanie informacji.

Pytanie: czy przenikanie wiedzy o cybernetyce w sfery humanizmu nada większą swobodę, szczerość i oryginalność myślenia?

Odpowiedź: tak. Perspektywa twórczej działalności maszyn stawia szczególnie wysokie wymagania przed twórczością człowieka: szczerość, prawdziwość i odkrywczość wzruszeń będzie jedyną przeciwwagą zimnej logiki i nieubłaganej oceny człowieka przez maszynę.

Pytanie: czy maszyna będzie mogła pełnić obowiązki krytyka sztuki?

Odpowiedź: w ogóle nie daj Boże, chociaż niekiedy przydałoby się.

Pytanie: napijemy się kawy?

Odpowiedź: dziękuję. Nie piję.

NIEDZIELA

Opowieść kryminalna.

Streszczenie: wezwany przed oblicze Sądu nieboszczyk stawia się w oznaczonym terminie i udaje niewinnego.

Sądowi osoba wezwanego wydaje się niezbyt wyraźna, a postawa podejrzana i nieżyciowa. Sąd odracza przesłuchanie aż do silniejszego wysycenia sylwetki oraz uzyskania podwyżki, którą zapomniał przyrzec niżej podpisanemu Redaktor Naczelny „Odgłosów" Wacław Biliński.

c.d.n. (jest nadzieja?)

R. Załuska

POLONICA

POLONIA AMERYKAŃSKA CZCI PAMIĘĆ M. KONOPNICKIEJ I H. MODRZEJEWSKIEJ

W związku z 55 rocznicą śmierci M. Konopnickiej, „Głos Ludowy", wychodzący w Detroit, w swym 43 numerze, zamieścił artykuł poświęcony twórczości naszej poetki, której kult wśród Polonii jest szczególnie żywy.

Oto wypowiedź jednego z redaktorów: „M. Konopnicka stała się dla Polonii Amerykańskiej, a zwłaszcza dla organizacji kobiecych tej Polonii — natchnieniem".

Ta sama gazeta przynosi bardzo obszerny artykuł, poświęcony życiu i pracy scenicznej naszej wielkiej aktorki, Heleny Modrzejewskiej. Całość została uzupełniona pięknym wierszem K. I. Gałczyńskiego pt. „Trochę bakteriologii". (ei)

POLSKIE DNI TEATRALNE W SAARBRUECKEN

Teatr Miejski w Saarbruecken zaplanował na rok 1966 „Polskie Dni Teatralne". W programie przewidziane jest wystawienie przez różne zespoły niemieckie „Halki" Moniuszki, „Iwony, księżniczki Burgunda" Gombrowicza, „Imiona władzy" Broszkiewicza, „Konduktu" Drozdowskiego, „Grupa Laokoona" Różewicza i „Policja" Mrożka. Jak widzimy, planowane polskie dni teatralne obfitować będą w wiele atrakcji. Bardzo jesteśmy tej imprezy ciekawi.

POLACY NA LITWIE

Jak donosi wychodzący na Litwie „Czerwony Sztandar", w swym numerze z dnia 7 grudnia br., zespół amatorski Wileńskiego Pałacu Kolejarzy przygotował i wystawił sztukę naszego klasyka, A. Fredry, „Damy i huzary". Ostatnio zespół przybył do Kaunasu, gdzie widzowie gorąco oklaskiwali jego występ. Ten sam dziennik zamieszcza notatkę informującą społeczeństwo litewskie, że w Kremlowskim Pałacu Zjazdów wystąpił nasz Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk", przyjęty owacyjnie przez moskiewską publiczność. Zespół pod dyr. Stanisława Hadyny, po występach w stolicy ZSRR — przybędzie do Wilna. Jest to dalszy przykład zacieśniania współpracy kulturalnej pomiędzy naszym krajem a Litewską SRR. (ei)

„SOWIECKIJ EKRAN" O FILMIE J. NASFETERA

W numerze 23 „Sowieckiego Ekranu" znajduje się omówienie pracy reżyserskiej Janusza Nasfetera, oraz informacja o jego najnowszym filmie pt. „Niekochana", opartym na opowiadaniu Adolfa Rudnickiego.

Oto wyjątek z omówienia „Niekochanej":

„Akcja filmu toczy się w Polsce burżuazyjnej. Opowiada się w nim o miłości ekspedientki i studenta, o bezowocnych próbach stworzenia „mikroklimatu" wewnątrz rodziny wyobcowanej ze społeczeństwa. W roli głównej wystąpi E. Czyżewska.

Od siebie chcemy dodać, że nasza kinematografia budzi od dawna zainteresowanie nie tylko u radzieckich widzów, lecz i wśród krytyki. (ei)

POLSCY AUTORZY W ZSRR

W radzieckich „Zapowiedziach wydawniczych" nr 48, znajdują się aż trzy pozycje książkowe polskich autorów. Książki te ukażą się w I kwartale przyszłego roku.

Oto autorzy, książki i ich krótkie omówienia:

„A. Minkowski — „Czterdziestu na pokładzie". Powieść poświęcona b. ważnym i drastycznym problemom moralno-etycznego wychowania człowieka. K. Filipowicz — „Pamiętnik antybohatera". Ta książka każe myśleć o wszystkim a przede wszystkim o obywatelskim obowiązku człowieka w stosunku do własnego narodu, o jego odpowiedzialności za losy ojczyzny. J. Ozga-Michalski — „Wybór". Twórczość polskiego poety i prozaika J. Ozgi-Michalskiego jest szczególna, oryginalna, mocno związana z jego pracą społeczną. Do zbioru tego wchodzą liryczno-epickie poematy, wiersze publicystyczne, filozoficzne, opisowe i intymne". (ei)

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

N. MASHFUS

MORDERCA

Od czasu gdy wyszedł z więzienia — przeważnie głodował. Zresztą Bajumi nie pierwszy raz odsiadywał karę i chyba nie ostatni. Nawet handlarze haszyszem nie mieli już do niego zaufania. Dni mijały, a on w dalszym ciągu nie mógł znaleźć pracy. Chodził ulicami Kairu, odpoczywał w spotykanych kawiarniach, czekał w nadziei, że znowu nawiąże przerwane przez więzienie znajomości. Bez rezultatu. Omijano go, patrzono na niego niechętnie, a nawet wrogo. Chwilami miał chęć wrócić do więzienia i tam pozostać na zawsze.

Kiedy siedział pierwszy raz — umarł mu syn, za drugim razem — odeszła od niego żona. I nawet teraz Bajumi nie wiedział, gdzie ona jest i z kim żyje. Oczywiście, nie miał do niej o to pretensji. Rozumiał, że przecież trudno jest być wiernym człowiekowi, który ciągle przebywa w więzieniu.

Zupełnie bez celu szedł pogrążoną w słońcu ulicą.

— Hej, Bajumi! — zawołał ktoś.

Drgnął jak od uderzenia kijem. Odwrócił się uradowany, że nareszcie jest komuś potrzebny. Uśmiechnięty, rzucił się w stronę wołającego, chwycił go za rękę i zaczął ją całować:

— Dzień dobry, dzień dobry, wasza miłość, dzień dobry, panie... — Ali Rukn Seid wyrwał rękę i powiedział ze złością:

— Przestań! No, jak, nie stęskniłeś się jeszcze za więzieniem?

— Gdyby nie tacy jak pan — powiedział z uśmiechem Bajumi — nie miałbym innego wyjścia.

— Znowu zaczynasz bredzić!

Ali Rukn Seid skierował się w stronę swojego powozu i skinięciem głowy rozkazał Bajumi, aby ten usiadł obok. Bajumi domyślił się, że Ali Rukn Seid ma do niego jakąś ważną sprawę. Usiadł i powóz ruszył.

Ali Rukn Seid nie patrząc na niego, spytał:

— Czy mógłbyś zabić Hadżi Abd Samada?

Bajumi aż otworzył usta ze zdziwienia.

— Zabić? — wymamrotał.

— Tak — powiedział obojętnie Ali Rukn.

— Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem.

— Wobec tego nie mamy o czym rozmawiać — odparł Ali Rukn zimnym głosem i ściągnął lejce.

Bajumi nie ruszył się z miejsca.

— Czy to wy będziecie płacić, panie? — spytał z ponurym wyrazem twarzy.

— Ja albo pan Mohamed. Czy ci nie wszystko jedno? — uśmiechnął się Ali Rukn. Popuścił lejce i koń znowu ruszył. — Pan Mohamed — to wielki człowiek! Jest właścicielem fabryki, a jednocześnie najpoważniejszym sprzedawcą haszyszu. Chciałby, aby go o nic nie podejrzewano, rozumiesz? Jego ludzi też. To mądry człowiek!

— Jestem do waszych usług, panie...

— Dobrze, wiem. A teraz konkretnie: zgadzasz się zabić Abd Samada?

— Może pan uważać, że on już jest w raju — powiedział Bajumi ze smutnym uśmiechem.

— Niech piekło pochłonie jego i ciebie razem z nim!...

Bajumi przyjął to jak przyjacielski żart i znów się uśmiechnął, a Ali Rukn mówił dalej:

— Chyba od chwili kiedy wyszedłeś z więzienia nie oglądałeś jeszcze pieniędzy?

— Przedtem też raczej rzadko.

— Pięćdziesiąt funtów.

— Tylko pięćdziesiąt?

— Ostatnia cena.

— Za zabicie człowieka?!

— Myślisz, że będę się z tobą targował? — przerwał ze złością Ali Rukn.

— Bardzo mi są potrzebne pieniądze. Mam starą matkę na utrzymaniu — kłamał Bajumi.

— Matkę! — powtórzył Ali Rukn i zaśmiał się. Wyjął z kieszeni pięć funtów.

— To na zadatek.

— Ależ panie, klnę się na wasz honor i na Allacha, że to za mało — wykrzyknął Bajumi pożerając oczyma pieniądze.

— No dobrze, niech będzie dziesięć — ustąpił Ali Rukn i zmrużywszy oczy dodał: — Co ty, durniu, nie wierzysz nam?

— Panie, czyżbym śmiał? Pomyślałem sobie, że może to są ostatnie pieniądze, jakie w ogóle otrzymuję...

— Kiedy z nim skończysz?

Bajumi zamyślił się.

— Proszę mi dać trochę czasu... Za tydzień.

— To trochę za długo.

— Ależ panie, przecież ja muszę wszystko przygotować, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Oprócz tego chciałbym trochę pożyć, bo przecież bardzo możliwe jest, że to mój ostatni tydzień...

— Czy wiesz, co cię czeka, jeżeli nie dotrzymasz umowy? — Ali Rukn popatrzył na niego groźnie i podał mu dwa pięciofuntowe banknoty.

W sobotę Bajumi od rana obserwował biuro Hadżi Abd Samada, siedząc w pobliskiej kawiarni. Wreszcie otworzyły się drzwi biura a w nich ukazał się Mohamed, za którego pieniądze ma być zamordowany Abd Samad. A oto i Hadżi. Odprowadza swojego gościa do drzwi. Rozmawiają. Śmieją się. Mohamed wsiada do swojego powozu i odjeżdża. Aż do ostatniej chwili gra rolę serdecznego przyjaciela. Co za obłuda, myśli Bajumi. Ten człowiek jest naprawdę bardzo okrutny. Należy się go wystrzegać. A jeżeli wszystko skończy się niepowodzeniem? Mohamed na pewno postara mu się za to zapłacić! On wszystko robi z zimną krwią. W tej sytuacji już nie ma odwrotu.

Około czwartej do kawiarni wszedł Hadżi Abd Samad w towarzystwie czterech mężczyzn. Zajęli stolik znajdujący się w pobliżu Bajumi.

— To znaczy, że jutro muszę jechać do Górnego Egiptu? — spytał jeden z urzędników.

— Tak — odpowiedział Hadżi — to złoty interes. Nawet nie przypuszczałem, że szczęście nam tak dopisze.

— Ile mogę zapłacić?

— Tak jak myśmy się umówili. Możesz zwiększyć do stu. Ostatecznie mamy gwarancję.

Hadżi uśmiechnął się.

— Muszę już iść, bo inaczej spóźnię się na wieczorną modlitwę.

— Do widzenia — odpowiedzieli mu — proszę nie zapominać o naszym jutrzejszym spotkaniu.

— Dobrze, będę o piątej. Mogę się trochę spóźnić, ale na pewno przyjdę.

Kiedy Hadżi mówił o swoich sprawach związanych z najbliższą przyszłością — Bajumi czuł się bardzo nieswojo. Wiedział, że musi go zabić, bo jeżeli on tego nie zrobi, to pewnego dnia ktoś przyjdzie do niego i... Bajumi chciał żyć. Wszystko jedno jak. Może kiedyś los się do niego uśmiechnie. Należy wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Przecież nikt go o to nie będzie podejrzewał! Wszyscy wiedzą, że Bajumi nie ma żadnego powodu, aby zamordować Hadżi Abd Samada. Ali Rukn i Mohamed wiedzieli, jak to zrobić.

— W najbliższym ramadanie — mówił dalej Hadżi Abd Samad — mam nadzieję, że otrzymam bardzo ważną i przyjemną dla nas wiadomość.

Niech wam Allach przyniesie szczęście...

W najbliższym ramadanie! Bajumi nie mógł słuchać głosu tego człowieka.

— Na mnie już czas — powiedział Hadżi. — Do widzenia.

Bajumi wyszedł za nim. Schował się w ciemnym kącie, z dala od latarni i czekał żując kawałeczki mięsa i popijając małymi łykami koniak. Słyszał głos czytający Koran. Był przekonany, że Abd Samad wyjdzie jako jeden z ostatnich. Bardzo wolno szedł ulicą policjant. Bajumi zadrżał: jeżeli go zobaczy, od razu wszystko zrozumie. Będzie wiedział dlaczego on tutaj czeka... Policjant przeszedł, znowu wrócił, zatrzymał się, stał oparty o karabin, wreszcie wziął karabin pod pachę i poszedł.

Bajumi wyszedł z zasadzki. Wydawało mu się, że wszystko wokoło jest czerwone.

Dotknął ukrytego za koszulą noża i skierował się w stronę domu Abd Samada. Dokoła było pusto i cicho; sklepy zamknięte, przechodniów zupełnie nie było. A oto znajomy dom na końcu długiej, wąskiej i ciemnej ulicy. Bajumi przystanął. Stąd dobrze wszystko widać, a jego skryje ciemność. Jeszcze raz dotknął noża na piersi. Czas płynął bardzo wolno i Bajumi czuł, że jest zmęczony.

Kiedy stary zegar wybił pierwszą po północy, w oddali ukazał się Abd Samad. Nie był sam. Serce Bajumi zaczęło uderzać szybciej. Jeżeli teraz nie uda mu się go wykończyć — już nigdy więcej na to się nie zdecyduje, a wtedy śmierć będzie deptała mu po piętach. Abd Samad i jego towarzysz doszli do połowy ulicy. Gardło Bajumi ścisnęła rozpacz. Gotów był uznać swoją porażkę i wyjść z ukrycia. Ale ci dwaj zatrzymali się i ten drugi skręcił w boczną ulicę. Abd Samad zaczął się zbliżać. Szedł bardzo wolno. W jednej ręce trzymał laskę, a drugą bawił się zawieszonym na łańcuszku zegarkiem. Na twarzy malowało się zmęczenie i spokój.

Oto wszedł w cień i zarys postaci zniknął. Teraz dzieliło ich już tylko kilka kroków. Bajumi wyciągnął nóż i ścisnął go w ręku. Skoczył w stronę poruszającego się w mroku cienia i pchnął go nożem. Człowiek krzyknął, a jego bezwładne ciało zatoczyło się. Upadł. Drżąc ze strachu, zapomniawszy o nożu tkwiącym w ciele zabitego, Bajumi rzucił się do ucieczki. Nie zauważył nawet, że cały jest zalany krwią...

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Foto: W. Paryś

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

ZGODNIE Z PRZEPISAMI

Pisała niedawno prasa łódzka, że jakieś tam przedsiębiorstwo przemysłowe, drogą jakiegoś tam ulepszenia metod produkcyjnych, zaczęło oszczędniej zużywać jakiś tam materiał. Zamówiona uprzednio ilość tego materiału okazała się wobec tego za duża i przedsiębiorstwo zwróciło się do dostawcy z wnioskiem o odpowiednie skorygowanie zamówienia i opartej na nim umowy.

Dostawca — w całkowitej zgodzie z przepisami — zażądał zapłacenia kary za odstąpienie od umowy. Tak więc oszczędność została — w całkowitej zgodzie z przepisami — ukarana.

Sprawa nie jest zresztą zupełnie prosta. Dostawca włączył zamówienie, o którym mowa, do swego planu produkcji, teraz nie ma czym wykonać planu, choćby tylko wartościowego. Może będzie musiał zostawić część mocy produkcyjnych niewykorzystanych, zwolnić część pracowników, zmarnować dalsze z kolei elementy, zamówione już na produkcję tamtego materiału. Może. Częściej jest tak, że zmniejszenie jednego zamówienia pozwala lepiej zaspokoić inne, może i takie, które przedtem leżały w kolejce i nie mogły się doczekać realizacji. Zanim dostawca rozważy wszystkie te „może" — zainkasuje karę, nie wolno mu nawet inaczej.

Kożuchów w kraju jest za mało. Polskie Koleje Państwowe rezygnują częściowo z kożuchów. Producent żąda oczywiście zapłaty kary, chociaż inni odbiorcy czekają w kolejce. Takie są przepisy.

Za niedostarczenie bluzeczki we wzorze — dajmy na to — 123, fabryka płaci hurtownikowi karę. Zamiast tej bluzeczki, z tysiąca różnych powodów, przeważnie niestety nieuniknionych, proponuje temuż hurtownikowi bluzeczkę we wzorze 124, różniącą się od tamtej jedną zmarszczką więcej. Hurtownik przyjmuje i inkasuje ponownie karę za to, że przyjął towar niezamówiony.

Producent, gdyby był mądry, zapłaciłby tylko pierwszą karę i zostawił hurtownika bez bluzeczek. Jeżeli dokłada dodatkowych wysiłków i kosztów, żeby dać towar zastępczy i dopłacić do niego drugą karę, to nie dlatego, że nie jest mądry, tylko dlatego, że oprócz umów wiąże go jeszcze plan, który chce wykonać. Właśnie za tę chęć i za ten dodatkowy wysiłek płaci karę. Zgodnie z przepisami.

Jeśli okaże się u odbiorcy, że w partii bluzeczek część posiadała wady — dostawca płaci karę. Jeśli za tydzień odbiorca otrzyma drugą partię bluzeczek, gdzie też będą wady, a za pół roku trzecią partię, znów z wadami — dostawca zaczyna od tej trzeciej partii płacić kary podwójne. Ponieważ dostawca produkuje tylko bluzeczki, ponieważ każdemu odbiorcy wysyła je w roku dziesiątki razy, można z absolutną pewnością powiedzieć, że partii zasterkowanych będzie więcej niż dwie i że prawie wszystkie kary będą podwojone, a podwojone — to znaczy wyższe niż za niedostarczenie towaru w ogóle. Inaczej mówiąc — producent myślący ekonomicznie powinien zawrzeć umowę na jakąś tam ilość, zapłacić od razu karę za niedostarczenie całej tej ilości, a jednocześnie sprzedawać swoje bluzeczki coraz to komu innemu, żeby nie dopuścić do „recydywy" w reklamowaniu wad, nieuniknionych w ogromnej, masowej produkcji. Zgodnie z przepisami.

Jeśli zamiast bluzki jedwabnej dostarczono piżamę, to to jest inny towar; słusznie więc dostawca jest ukarany. Jeśli zamiast bluzki jedwabnej wzór 123 będzie wzór 124, to to jest już towar mniej inny, ale kara zostaje ta sama. Jeśli zamiast bluzki jedwabnej wzór 123 w kolorze jasno szarym będzie wzór 123 w kolorze jasno-burym to to jest jeszcze mniej inny towar, kara jednak zostaje bez zmiany. Jeśli wszystko jest identyczne oprócz hetki z pętelką, to konsument nawet nie zauważy różnicy, ale hurtownik zauważy i kara będzie ta sama. W całkowitej zgodzie z przepisami.

Te kary to są setki milionów złotych. Dziesiątki tysięcy ludzi wylicza je pracowicie, przepisuje z kartki w kartkę, pod tysiącami sporów uginają się setki komisji arbitrażowych, sądzą sprawy sprzed trzech — czterech lat, osiwieli w międzyczasie urzędnicy wykopują z archiwów foliały akt, sporządzają odpisy, studiują tygodniami dawno umarłe „zaszłości". Kary, zapłacone przez przedsiębiorstwo produkcyjne, zmniejszają fundusz premiowy załogi, której przed trzema laty wcale tu nie było i która nie ma żadnego wpływu na misterne kombinacje handlowo-arytmetyczno-prawnicze. Zgodnie z przepisami.

Porządek bowiem musi być. Tylko komuś stojącemu z boku może zaświtać chętka zamieszania tej zgodności, popsucia zabawy, sięgnięcia po commun sens. Tylko anarchiście może zaświtać myśl zrewidowania przepisów.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3303. XII.65. N-3